№ 23 Warszawa, dnia 29 Maja (10 Czerwca) 1882 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

Z końcem kwartału przypominamy ponowienie prenumeraty na czas dalszy, a co najlepiej uskuteczniać za pośrednictwem samej Redakcyi.

Cena prenumeraty na **Tygodnik Mód i Powieści** wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . .	**rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . .	**rs. 5**
Rocznie	**rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI.

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . .	**rs. 1 k. 25.**
Półrocznie	**rs. 2 k. 50.**
Rocznie.	**rs. 5.**

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr. 3.

Z OPOWIADANIA REZYDENTA.

POWIEŚĆ.

Napisała

ZBIGNIEWA ZMORSKA.

(Dalszy ciąg.)

Wszystkie trzy nasze panie wydawszy przed chwilą, na widok wiszącej w powietrzu u szyi konia dziewczyny, potrójny okrzyk przerażenia, teraz osłupiały ze zdumienia i zgrozy. Co do mnie wyznam, że z satysfakcyą starego kawalerzysty patrzałem na smukłą postać w eleganckim paryzkim kostiumie siedzącą na zbujanym i zestraszonym koniu. Karosz z początku wspinał się i wierzgnął kilka razy, poczuwszy jednakże, że jeździec choć lekki siedzi jak przykuty, uspokoił się natychmiast i posłuszny jak dziecko wprawnej dłoni, lekkim, eleganckim galopkiem, wśród ogólnego zadowolenia służby, poniósł amazonkę przed stajnie.

Po raz pierwszy od przybycia sieroty, dostrzegłem lekkie niezadowolenie na twarzy Jenerałowej.

— Prawdziwe to dziecię stepów! rzekła z westchnieniem powracając z ganku do salonu.

Chcąc załagodzić złe wrażenie zanim Ksenia powróci ze stajen, zacząłem podziwiać jej zręczność i odwagę.

— Ty bo panie Sewerynie, stanowczo jesteś przez tę dziewczynę w niewolę zabrany — rzekła Jenerałowa siadając na swem miejscu i biorąc się do wiązania siatki, którą na chwilę była porzuciła — i gotów jesteś pozwalać jej na wszystko i każde jej szaleństwo podziwiać. Co do mnie, wolałabym w niej mniej tego czegoś... kozaczego... Prawda, że po wychowaniu jakie odebrała trudno się było czego innego spodziewać i nie można brać jej tego za złe, w każdym jednak razie obowiązkiem naszym jest oduczyć ją tych wszystkich zbyt stepowych nawyknień, i proszę pana, abyś pomagał nam w tem naszem przedsięwzięciu.

— Pani moja, zawołałem składając dłonie, uwolnij mnie od tego obowiązku. Ja na cywilizatora nie zdam się bynajmniej. Nie mógłbym pozbawiać tej rusałki naddnieprzańskiej jej największych czarów i wdzięków, jak nie mogłem kazać obciąć starego naszego wiązu, choć ogrodnik twierdził, że tym sposobem nada mu kształt sztuczniejszy i piękniejszy.

Jenerałowa roześmiała się tą razą już głośno.

— No, to siedź przynajmniej cicho i nie chwal jej dzisiejszego znalezienia się.

Obiecałem.

Za chwilę nadeszła Ksenia ożywiona i zarumieniona od ruchu i mrozu, z błyszczącemi jak gwiazdy oczami.

— Ach! ciociu, co to za koń ten twój wrony! zawołała jeszcze we drzwiach, zawiązując na nowo kosę, która jej się w zapasach z koniem rozpletła do połowy.

Jenerałowa przyjęła dziewczynę z twarzą bardzo poważną.

— Pójdźno, usiądź tu — rzekła wskazując jej krzesło obok siebie.

Ukrainka nic a nic nie poznała się na niezadowolonej twarzy ciotki i poważnego jej gestu nie umiała należycie ocenić — najswobodniej usadowiła się w fotelu i zaplatając kosę, która się jej z palcy wymykała ciągle, ciągnęła dalej swe opowiadanie:

— Zanim oddałam go Grzegorzowi, sprobowałam na nim jeszcze tego płotu po za stajniami. Przeniósł mnie przez niego jak ptak! jak wicher! i zaraz też nazwałam go Buranem.

— To wszystko bardzo dobrze — przerwała Jenerałowa — ale, nie powinnaś robić tego po raz drugi.

— A to dlaczego? wielkiemi oczami patrząc na ciotkę zapytała dziewczyna z największem zadziwieniem.

— Dlatego, że to rzecz niestosowna dla młodej panienki.

— Co takiego, ciociu? czy to, że schwyciłam Burana, czy że go dosiadłam?

— I jedno i drugie. Gdzież można aby młoda osoba, kobieta z dobrego towarzystwa, razem ze służbą wdawała się w gonitwy za wpółdzikim koniem, a co gorsza skakała na niego jak kozak i sama odprowadzała do stajni.

— Przecież to nic złego ciociu! Słyszałam przecież, że kobiety wielkiego świata jeżdżą także konno!

— Zapewne, nie oklep jednakże, nie na uzdzienicy i nie w krótkiej sukni. Wszystko na świecie robić można z zachowaniem pozorów i z godnością.

— Ach, krótka suknia, czy długa, angielski munsztuk, czy uździenica z łańcuszkiem, czyż to nie jedno? żywo przerwała dziewczyna. Wierz mi ciociu, że nie zrobiłam dzisiaj nic złego! Gdyby to była rzecz niedobra, niezawodnie Hordij nie byłby mi na to pozwolił, a onto właśnie sam nauczył mnie dosiadać tak konia nie dotknąwszy go i prosto z ziemi. W domu codzień na wieczór wychodziłam na step, daleko, aż za Jar Kamienny, gdzie pasło się nasze stado — Maksym chwytał mi wtedy siwą Zyrońkę, albo kasztanowatego Chwata i pędziliśmy potem stado aż do Worskli do wodopoju.

— Któżto znowu jest ten Maksym? niechętnie spytała Jenerałowa.

— Mój mleczny brat, syn Warwary.

— Czy ojciec wiedział o tych wycieczkach i czy pozwalał na nie?

— Dlaczego miał nie pozwalać? Cóż mi się stać mogło złego na naszym stepie szerokim, na naszych koniach, które mnie znały i biegły na wyścigi gdy na nie zaświsłam i przy Maksymie, który prędzej byłby do Woroki skoczył i życie położył, zanimby pozwolił krzywdę mi zrobić najmniejszą. Poczciwy Maksym, dodała zamyślając się, półgłosem, on zawsze wiedział który koń najlotniejszy w stadzie, i najwygodniejszy do jazdy, zawsze umiał go dla mnie uchodzić, ugłaskać, że sam przychodził do ręki i do wędzidła głowę podawał.

— Moje dziecko, wszystko to uchodziło na stepach. W krainie hajdamaków nie dziwię się, że zwyczajów nieco hajdamackich nabrałaś, tu jednakże życzyłabym sobie, abyś od nich odwykła jak najprędzej.

Widziałem jak na słowa „kraj hajdamaków" twarz dziewczyny pobladła i przeszła po niej dziwna gra rysów: usta jej drgnęły i oczy pociemniały, stały się w tej chwili prawie czarne. Nakryła je jednakże długiemi rzęsami i odetchnąwszy lekko, odparła spokojnie, prawie za spokojnie:

— Dobrze ciociu, nie zrobię tego więcej, jeśli sobie nie życzysz: nie probuj mnie jednak przekonać, że to coś złego, bo to naprożno.

Tak mi się żal zrobiło tego biednego dziecka, że zapomniawszy przed chwilą danej obietnicy, nie mogłem dłużej pozostać niemym świadkiem tej sceny i nadmieniłem coś o podobnych zupełnie zamiłowaniach cesarzowej austryackiej, która także najdzikszych koni dosiada i ujeżdża je bez siodła.

Dziewczyna podniosła na mnie swoje czarowne oczy i uśmiech słodki rozjaśnił zasępioną jej twarzyczkę, nie odpowiedziała na to jednakże ani słowa. Jenerałowa zato pogroziła mi palcem nieznacznie, a kiedy wkrótce po tem Ksenia wraz z nauczycielką wyszły do głównego salonu powtarzać jakieś ćwiczenia na fortepianie, staruszka obróciła się do mnie z burą.

— Zdaje się, panie Sewerynie, że zapomniałeś zupełnie swojej rozumnej roprawy o urabianiu młodego materyału i sam zaczynasz psuć go wnajlepsze!

Ucałowałem ręce mojej najzacniejszej dobrodziejki.

— Nie zapomniałem, pani moja, ale to materyał bogaty, taki pyszny w swej surowej formie, że żal tego dotknąć i strach, aby szlifując nie popsuł się i nie zmarnował...

— Idealistą jesteś jak zawsze! Cóż nam po materyale najbogatszym w surowym stanie? Czyż nie należy przerobić go tak, aby z niego pożytek był ludziom. Chociaż — dodała — zupełnie go przerobić podług swej woli, bodaj czy nie zapóżno, przyszedł on w nasze ręce urobiony już w stałą formę i hartowany i trzeba chyba bardzo twardej ręki którаby go przynajmniej oszlifować potrafiła!

— Przepraszam, przerwałem, potrzeba bardzo delikatnej dłoni, którаby z niego wyrzeźbiła arcydzieło!

— Może masz słuszność, probujmy jak się da, odpowiedziała Jenerałowa. Natura to nadzwyczaj poczciwa, ale fantastyczna i samowolna do szaleństwa. Patrz, dodała biorąc ze stołu ów sławny wschód słońca rozpoczęty przez Ksenię: dwie roboty porzucone, ledwie zaczęte. Chciałam zająć ją czemś, aby gdy siedzi tak z założonemi rękami umysł jej nie błąkał się tak samopas, ale się zwrócił do praktycznej strony życia.

Mimo woli roześmiałem się.

— Pani! zanadto to umysł rozbujany, rozkołysany, aby go przykuć można do kawałka kanwy i pasma włóczki. Musimy wynaleźć jej coś lepszego. Mówiła coś o rysunku — jeśli pani pozwoli, zacznę z nią od jutra lekcye?

— Spytaj się jej, czy zechce, odparła wzruszając ramionami staruszka.

Zapytałem Jenerałowej: czy wolałaby aby pupilka jej była płaskim, bladym charakterem, pozwalającym powodować sobą każdemu i czynić z sobą co się komu podoba?

— Nie wiem czy kochałabym ją tyle, odparła.

Szalonej tej samowoli Ukrainki nieraz jeszcze stawaliśmy się ofiarami.

Dnia pewnego Jenerałowa spostrzegłszy znaczne postępy w muzyce Kseni i rysunkach, którym dziewczyna oddawała się z zapałem, zapytała, czy chciałaby także uczyć się śpiewu?

— Jak się to uczy śpiewu, staruszkú? zwróciła się do mnie dziewczyna—bo mnie tak zwała dla siwych wąsów i czupryny dobrze już szpakowatej.

Zacząłem jej wykładać teoryą śpiewu, mówiłem o skali, trelach i harmonii, dziewczyna słuchała mnie z rozjaśnionemi oczami.

— Ach! ciociu, dobrze! będę się uczyć śpiewu, będę śpiewać jak Patti, Nilson i Katalani, zawołała rzucając się ciotce na szyję.

Jenerałowa ucieszona tą ochotą a nawet zapałem pupilki, zadowolona, że tym sposobem rozwinie się jeszcze jeden więcej talent w tak już czarownej i coraz piękniej rozwijającej się dziewczynie, podjęła projekt ten ochoczo, a że panna Skarzyńska, teraźniejsza nauczycielka Kseni, choć wysoko muzykalna, śpiewu nie posiadała, telegramem zamówiono z Warszawy specyalistkę w tym kierunku i w dni kilkanaście mieliśmy już w Młynach panią Popielską, osobę już niepierwszej młodości, wdowę, ale znaną z opinii jako nader sumienną i wyborna metodę posiadającą nauczycielkę.

Trzeba nieszczęścia, że natura obdarzywszy panią Popielską cudownym głosem i konstrukcyą gardła zbliżongo chyba do gardziołka słowiczego, poskąpiła jej wdzięków zewnętrznych — dając jej włosy płomienisto czerwone, oczy wypukłe, wyblakłego jakiegoś koloru, nos duży kaczuszkowaty i żółte, brzydkie zęby, których nie wiem z jakiego powodu nie zamieniła na sztuczne.

Skoro tylko powóz przywożący nauczycielkę ukazał się w bramie, Ksenia, która lekcye śpiewu rozpocząć już pragnęła jak najprędzej, wybiegła na ganek powitać nowoprzybyłą, którą prawdopodobnie wystawiała sobie podobną do panny Skarzyńskiej, osoby nie wiele starszej od elewki, ładnej i humorem nadającej się i pasującej z nią doskonale. Ujrzawszy jednakże twarz starą i bardzo szpetną a ośmieszoną jeszcze w dodatku fantazyjnym jakimś kapeluszem z wielkim czerwonym kwiatem, nie czekając aż służący wysadzi śpiewaczkę z powozu, zwróciła się tuż z przed niej i pędem uciekła do pokoju, pozostawiając gościa pannie Skarzyńskiej.

Wychodząc za pannami przyjąć przyjeżdżającą a dla nogi mojej, która mi jeszcze ciągle trochę dokuczała, opóźniwszy się nieco, spotkałem faworytkę moją w sieni, powracającą już z ganku z miną kwaśną i niezadowoloną.

— Dlaczego uciekasz, panno Ksenio? zapytałem gdy przebiegała obok mnie pędem.

— Taki ma nos szkaradny! —rzuciła mi wpadając do salonu.

Gdyśmy oboje z panną Skarzyńską wprowadzili nowoprzybyłą na pokoje, przyszła jej pupilka zdołała się już przecie opamiętać, przedstawiona nauczycielce, ukłoniła się jej uprzejmie i przez dwie godziny blizko, siedząc pomiędzy ciotką i panną Anastazyą, ze spuszczonemi uparcie oczami, zajęta rysukiem jakimś, który jak się zdawało uwagę jej całkowicie absorbował, zachowywała się bardzo przyzwoicie i przykładnie, za przykładnie nawet jak na jej żywe usposobienie. Kiedy jednakże po herbacie, którą zwykle podawano koło piątej po południu, Jenerałowa zaproponowała pannie Skarzyńskiej zagranie na fortepianie, a następnie wysłuchawszy długiej jakiejś koncertowej sztuki Bacha, chcąc zapewne usłyszeć głos pani Popielskiej, poprosiła ją o zaśpiewanie, Ksenia ożywiła się nagle i z gorączkową ciekawością stanąwszy naprzeciw fortepianu, szeroko otwartemi oczyma patrzała prosto w usta śpiewaczki. Nauczycielka zapewne chcąc pokazać odrazu tak szkołę, jak wyrobienie i szeroką skalę swego głosu, wybrała jakąś włoską aryę najeżoną trelami, ruladami i trudnościami wszelkiego rodzaju, które powinny były na nas zrobić wrażenie ogromne. I zapewne nie byłaby chybiła obmyślonego celu, gdyby nam szalona Ukrainka nie była przerwała kontemplacyi w samym środku.

Lubiąc czytać w twarzy dziewczęcia wrażenia duszy, które rysy jej ożywione i ruchliwe odbijały

jawnie i doskonale mieniąc się dziwną coraz inną grą uczuć, stanąłem naprzeciw, obserwując ją uważnie i ciekawie. Przy pierwszych zaraz tonach śpiewu, zobaczyłem jak oczy dziewczęcia otwierają się coraz szerzej, pochylona na przód z lekko odchylonemi usty, z natężeniem prawie wsłuchiwała się w płynącą melodyą; gdy przecież w połowie śpiewu artystka doszła do jakiegoś najwyższego cis, które miało być jak się zdaje najefektowniejszym, kulminacyjnym punktem aryi, dziewczyna zatknęła uszy obiema rękami i zrobiwszy nadpowietrznego pirueta na koniuszczkach palcy wybiegła z pokoju. Zaintrygowani tą rejteradą, jakby jedną myślą popchęci oboje z panną Skarzyńską udaliśmy się za nią. Zastaliśmy ją w jadalnej sali, leżącą na wielkiej czerwonej sofie i zachodzącą się od śmiechu.

— Co panna Ksenia wyrabia? zapytałem tą razą uzbroiwszy się w powagę.

— Czego ona tak krzyczy cienko? zapytała wśród śmiechu szalonego Ksenia.

— Czy to wprawia panią w taki dobry humor?

— Ona ma tylko półtora zęba i otwierała usta jakby nas wszystkich połknąć chciała, odparła nową kaskadą śmiechu wybuchając dziewczyna.

Uzbroiwszy się w powagę, która mnie jednakże o mało co nie opuściła, szczególniej że i panna Skarzyńska pociągnięta śmiechem Kseni, a za młoda aby umiała panować nad sobą, chichotać poczęła w najlepsze, począłem strofować łagodnie moją ulubienicę, zwracając jej uwagę: jak niewłaściwie postępuje śmiejąc się z kobiety o tyle od niej starszej, która zresztą zapewne wolałaby być poważniejszą niźli jest w istocie. Mówiłem dalej o szkole włoskiej, która wymaga szerokiego otwierania ust, aby głos nietamowany niczem płynął z całą swobodą i lekkością.

— Po raz pierwszy, mówiłem dalej, słyszałaś dziś pani śpiew dobry, odpowiadający wszystkim wymaganiom sztuki i metody, nie potrafisz więc ocenić go należycie i poznać się na nim: gdy jednakże obeznasz się trochę z rodzajem tego śpiewu, gdy zrozumiesz cały kunszt jego, zmienisz zdanie z pewnością i mam nadzieję, że z wdzięcznością korzystać będziesz ze wskazówek jakich udzielać ci będzie pani Popielska.

— Ja miałabym tak krzyczeć? zawołała dziewczyna zrywając się naraz z sofy najzupełniej już seryo. Ja miałabym tak krzyczeć i tak szeroko otwierać usta? Za nic! Nagadaliście mi o uczonym śpiewie, o Nilson, Patti i Katalani... myślałam, że to coś ładnego! Myślałam że to śpiew prawdziwy, taki jak u nas, rzewny, tęskny, taki co idzie do serca, co gra w duszy a tu krzyk! krzyk tylko, nic więcej!

Właśnie w salonie skończyła się muzyka i za chwilę w drzwiach jadalni ukazała się Jenerałowa.

— Cóżeście się tak tu wynieśli? zapytała.

Opowiedziałem staruszce o co chodzi.

Jenerałowa bardzo seryo zwróciła się do siostrzenicy.

— Moje dziecko, nie możemy rządzić się fantazyami, sprowadziliśmy tę panią i trudno teraz robić jej zawód. Od jutra czy ci się to podoba, czy nie, lekcye się rozpoczną.

— Cienkiego krzyczenia? figlarnie zapytała dziewczyna.

— Możesz krzyczeć grubo, odparła Jenerałowa. W każdym razie uczyć się trzeba.

— I mam tak szeroko usta otwierać?

— Zapewne, jeśli nauczycielka powie: że tak być powinno.

— Czy i zęby powinny być koniecznie żółte?

— Wstydź się Kseniu, jesteś złośliwą, — rzekła Jenerałowa zawracając napowrót do salonu. Wyśmiejże się tutaj, wyszalej, a na jutro bądź gotową do lekcyi.

— Za nic! stanowczo zawołała Ukrainka. Umiem śpiewać tysiąc razy lepiej niż ona i nie myślę uczyć się ani jednej nuty, którąby mi mogła popsuć moją szkołę!

— Albož ty śpiewasz?

— Sto razy lepiej jak ona!

— Któż cię uczył i kiedy?

— Kto? nikt. Albož u nas uczy się kto a wszyscy śpiewają. Wszyscy — dodała zamyślając się i zapatrując w płomyk wiszącej lampy. Słuchamy jak nam sołowejko nuci w leszczynie, jak zazule kukają po jarach, a czajki wiją się po stepie i płaczą i jęczą i czarnemi skrzydłami błyszczą pod słońce... i uczymy się od ptaków Bożych. Słuchamy jak nam wiatr szumi po burzanach, jęczy po mogiłach i krzyżach cmentarnych, słuchamy dnieprowej fali, jak nam po porohach huczy i pryska i uczymy się od Dniepru. Ach! ciociu, gdybyś ty to słyszała! zawołała złożone ręce przyciskając do piersi namiętnie.

Widziałem, że Jenerałowa zmiękła już trochę.

— Moja dziecino — rzekła teraz już bardzo łagodnie — nie myślimy też przez naukę zabijać w tobie upodobania do muzyki ukraińskiej, która przecież bardzo wogóle cenioną jest przez muzyków: owszem jeśli jak powiadasz umiesz już śpiewać to przez naukę rozwiniesz tylko swój talent, nabierzesz gustu i głos wzmocnisz.

— Nie, ciociu, nie! zawołała dziewczyna — rób co chcesz, gniewaj się, wypędź mnie od siebie, ale ja nie chcę tak śpiewać! Nigdy, nigdy!

— Cóż teraz zrobię z przybyłą nauczycielką? zapytała z zakłopotaniem Jenerałowa. Sprowadziliśmy ją, jakże jej teraz powiedzieć, że niepotrzebna!

— Rób co chcesz ciociu, zapłać ją, wynagródź, przeproś, spędź wszystko na mnie, powiedz żem dziwaczka, szalona, waryatka. Albo każ jej niech pozostanie tutaj, niech sobie śpiewa ile jej się podoba, tylko nie każcie mi tego słuchać, albo się uczyć bo to napróżno!

Wszystkie perswazye i przekonywania nasze wspólne nic nie poradziły: dziewczyna uparła się i o śpiewie nawet słuchać nie chciała. Jenerałowa z przykrością oznajmiła nauczycielce napad fantazyi pupilki i zatrzymawszy biedaczkę przez dni kilka, jako gościa w Młynach, po dwóch tygodniach wypłaciwszy jej pensyą za rok cały, wyprawiła ją z powrotem do Warszawy.

(D. c. n.)

DUMANIE.

Złote lata przeminęły,
Ach, czy mnie ich żal?
Nad kolebką sny przemknęły,
Lecąc z pieśnią w dal.

Czar poranku — kwiat na łonie,
To nie dla mnie już!
Lecz pod chmurą gwiazdka płonie,
Tęcze lśnią wśród burz.

Echo wiosny brzmienie szerzy,
Jak słowicza pieśń —
Prądem uczuć życie bieży,
Jest czem spędzać pleśń...

Ziemia droga — ojców niwa,
Starych lasów szum;
Tam zaklęcia moc spoczywa —
Święceń życia tum.

Łzy pieszczotą utulone,
Rodzicielski głos —
Ziarna w rolę uronione,
Na przyszłości kłos.

I blask życia nieskalany,
Mętem rdzawej łzy —
To tęczowych wspomnień wiany,
Z owych rajskich dni.

Z takich czarów tony zwite,
Wiążą serce — skroń,
I w dal niosą niespożyte,
Głębokie jak toń.

Pierwsze serca uderzenie,
Jeszcze słychać tu...
Kto z skry uczuć snuł promienie,
Nie zna martwych snu.

Romania Kamieńska.

MARYA STUART
W HISTORYI I W LITERATURZE.

Napisał

ZORYAN.

(Dalszy ciąg.)

Królowa sama na tronie, to obraz prawdziwie smutny. Niezgoda w łonie rodziny i narodu jak hydra staje z nią do walki, zmuszając do obrony, a kiedy w tem starciu królowa raz tylko nierozważnie zdeptała swe obowiązki, już droga do odwrotu zamknięta, już Nemezis, jeśli w nią wierzyć się godzi, żąda zemsty i dla dopełnienia puharu przewinień do nowych ją popycha zbrodni. Samą była Marya, a samotność wiele złego sprowadza; w niej niejedna czarna myśl się rodzi i męczy tak długo, dopóki jej człowiek nie ulegnie. Cóż naturalniejszego, jak, że człowiek, czując gniotącą go samotność, pragnie zerwać więzy, które go w niej utrzymują. Lecz więzy, które nas opasują tak są z sobą połączone, że najczęściej gdy rękę przyłożymy, rwą się z kolei wbrew naszej woli. Między więzami jest i obowiązek, który jak długo stosunki panują normalne, nie jest uciążliwy, gdy jedną tylko nić więzów naprężymy, obowiązek zaciąży najbardziej. Lecz właśnie w tem cnota, by go wytrzymać, nie stargać. Zdeptany obowiązek — to spalony most odwrotu na drodze zbo-

czeń moralnych, występków i zbrodni. Marya go zdeptała:

(*Zdejmuje koronę.*)

Więc teraz z wszystkich więzów jestem uwolniona,
Ciężyłaś mi na czole, a twój połysk zgubny
Wielu, wielu przerażał i odstraszał wielu.
Teraz wolna... nie—jeszcze cięży pierścień ślubny.

(*Zdejmuje pierścień.*)

O! teraz przybądź do mnie! przybądź tu, Bothwellu!
Przybądź! nie mam korony i nie mam pierścienia,
Przybądź! już się nie lękam Boga, ni potwarzy...

Zrzuciwszy koronę i pierścień ślubny, zapomina nawet o Bogu, a takich słów, jak ona wyrzekła: „już się nie lękam Boga," nie mówi się bezkarnie. Umie też poeta malować tę Nemezis i mści się w każdej drobnostce za drobnostkę. I tak, wkładając w usta Maryi słowa:

Przybądź! nie mam korony...

daje jej kochanka, dla którego nie ona była kochanką, lecz korona, i każe z całym egoizmem Bothwellowi popychać ją do zbrodni, a to wszystko nie dla miłości, lecz dla korony.

Oto główne wady Maryi — zalet nie rozwinął poeta żadnych. Błąd to kompozycyi, bo że Marya była piękną i dobrą dla tych co ją otaczali, to jeszcze nie koniec zalet kobiety; pominięcie innych, któreby wybornie oddały stronę świetlaną charakteru, za złe musimy wziąć Słowackiemu.

Około postaci Maryi wije się cała fabuła dramatu, jest ona z jej charakterem najściślej związana, w niej znajdujemy wszystkie wyjaśnienia tegoż. Nie przytaczamy jej wcale, bo nie ma chyba czytelnika, któryby Maryi Stuart Słowackiego nie znał, wreszcie, powiedziano o tem już tyle, że trudnoby tu jeszcze co dodać. Ograniczając się więc na uwagach poprzednich powiemy jeszcze słów kilka o dwóch ważniejszych charakterach.

Bothwell złamał się pod piórem poety. Pierwsza część dramatu okazuje nam go w fantastycznem świetle. Zamyślony, okryty złudną szatą bolejącej duszy — a jak chcą niektórzy, bajronizmu — goni w łodzi po ciemnych nurtach wody za kwiatem, co z wiatrem rozwianych warkoczy królowej spadł na drżące fale. Na czole jego wyryta myśl samobójcy. Wchodzi do Astrologa i filozofuje coś naksztełt Fausta.

Widzisz mnie, Astrologu, na wybladłej twarzy
Gorzki uśmiech i wzgarda — nie patrz co jest we [mnie,
Któż się we wnętrza grobu zaglądać odważy?
Nie zniszczyły mnie zbrodnie, jest to sytość życia.

To pierwsza część charakteru, który na słowa Astrologa: „będziesz królem", zupełnie się zmienia. Ten sam Bothwell staje się zupełnie innym i na wstępie do nowego życia mówi:

Rozbiję czarę,
Ale po co rozbijać? może się przyda...
W taką drogę iść trzeba z obfitym zapasem...

To słowa trafne i zupełnie przystające do charakteru Bothwella — to wstęp zupełnie odpowiedni do całej przyszłej działalności jego. Ale to wszystko, co Bothwell przedtem mówi, dziwnie jakoś nienaturalne. Poeta niczem nie usprawiedliwia chęci samobójstwa, a miłość do Maryi — taka romantyczna i platoniczna w zarodzie, ginie gdzieś bez śladu, bo Bothwell cały oddany myśli królobójstwa i słowem nie zdradza uczucia. Bo i gdzieżby w nim szukać uczucia, gdzież szukać tego Bothwella, jakiego widzieliśmy w opisie pazia i monologu Maryi, kiedy on sam o sobie powiada:

Serce się moje kobiet łzami nie rozczula...
Chce, żebym myśl jej odgadł? nie, ja nie rozumiem!
Aż mi powie: Bothwellu! zabij! zabij króla!
Za mniejszą cenę nie chcę zabijać — nie umiem.

Takim zbrodniarzem jest do końca, a okropnym staje się, gdy zabiwszy pazia, woła z dzikim śmiechem:

Cha! cha! co to znaczy?
Wiedział o naszej zbrodni... umarł.

Tu odsłania się prawdziwy charakter Bothwella — takim, snać, chciał go mieć poeta, takim dla sztuki być powinien; z początkiem tylko sztuki wiążą się odmienne określenia jego charakteru, które go łamią i czynią całą tę postać niezrozumiałą, dwoistą — o czem zresztą już poprzednio mówiliśmy.

Słówko jeszcze o Henryku.

Główną cechą jego jest bezbarwność, mdłość jakaś w charakterze i chwiejność. Słowa i czyny jego tak się mieszają, że nie wiedzieć właściwie, jakim jest. I tak np. mówi w scenie 5-tej aktu I, że gotów na wszystko, że sztylet struny przetnie, a zaraz potem w te słowa odzywa się do Mortona:

Długo żyjąc oddaleni,
Nie czujemy tak zgodnie, jak dawniejśmy czuli,
To prawie moja wina — jakaś zazdrość *płocha*
Rozdzieliła nas -- zdradę podstępni uknuli,
Lecz królowa kochała i teraz mnie kocha.

Za chwilę znowu wpada w gwałtowność i woła z prośbą, aby go kto uwolnił od Rizzia, obawiając się, że ten wkrótce sięgnie po koronę. Tę samę gmatwaninę spostrzegamy w słowach następnych, w których unosi się dumą i nędznym nazywa Mortona, gdy ten mu radzi przed sądem stanąć ze skargą na podłego służalca. A ten sam Henryk, gdy to mówi ma już gotowy plan inny: podstępem zamordowania Rizzia — czy to szlachetniejsze?

Chwiejność Henryka ciągnie się przez pierwszą połowę sztuki i przechodzi w zupełne mazgajstwo; w drugiej części jest on już innym. Tam widzimy go znowu osamotnionym, cierpiącym, biednym. Wyrzuty sumienia trapią go bez ustanku, to człowiek, który nie może być złym. Złym też nie był, ale był słabym — a to często największą wadą człowieka. Za jeden współudział w zbrodni nieskończone czuje wyrzuty, żal mocny budzi się w nim. Ten Henryk bolejący, opuszczony, samotnie pozostały z błaznem swym tylko, ten Henryk, którego podstęp i zbrodnia, przyjąwszy najstraszniejszą obłudę w usługę, otaczają, jest w oczach widza, czy czytelnika już znacznie zrehabilitowany.

Przyznać bo trzeba, że Słowacki, promieniami poezyi sypiąc, umiał zdobywać sympatye dla swoich postaci, choćby tak w ogóle bezbarwnych jak Henryk, lub czarnemi zbrodniami malowanych jak Marya. Nawet ona, porwana po dokonanej zbrodni przez Bothwella, przypomina nam ową baśń wiejską o dziewczynie, co lekkomyślnie zaprzedawszy duszę szatanowi, w jego mocy będąc, idzie na straszną tułaczkę i choć zawiniła, żal i litość budzi. Budzi współczucie i sympatyą. Dlaczego?

Bo była piękną... i nieszczęśliwą.

(*D. c. n.*)

DZWON.

Daleko — tam, w młodości mej krainie,
Mieścinę znam, jest klasztor w tej mieścinie:
Sięgają chmur wzniosłe kościelne wieże,
Otoczył mur świątynię i ją strzeże
Ze wszystkich stron, jakby twierdzę warowną,
A wielki dzwon brzmi muzyką cudowną.

Dźwięk niemy ten prawił mi dzieje stare,
Płoszył mój sen, rozbudzał we mnie wiarę:
Bo w dźwięku tym był duch mod'itwy prawej,
Brzmiał wieszczy rym, brzmiał pean Bożej sławy
Z dalekich stron ku duchowej pociesze,
Ów głośny dzwon zwoływał wiernych rzesze.

O! pomnę tam dni wiosny, dni świetalne:
Płynęły z bram orszaki tryumfalne —
Barwisty tłum, kapłanów z ludem pienie,
Chorągwi szum, timpanów głośne brzmienie
W harmonią, w ton zlewały się, a stary
Na wieży dzwon wygłaszał tryumf wiary.

Autor Pamiątek z Litwy.

Otwarcie nowej drogi żelaznej i tunelu ś. Gotarda.

Są rzeczy, które już nie jedno społeczeństwo, ale cały świat interesują, a do takich można zaliczyć nową drogę żelazną przeprowadzoną przez górę św. Gotarda, która w tych dniach została otworzoną dla użytku podróżnych.

Parę dni temu skończyła się właśnie uroczystość otwarcia jej, gdzie oprócz przedstawicieli rządowych trzech narodów, zjechały się tłumy gości z różnych krajów, aby podziwiać ważność tej linii, z taką śmiałością rzuconej przez Alpy.

Oprócz bowiem tunelu Gotarda nad którym pracowano dziewięć lat i trzy miesiące, mającego długości przeszło 14,900 metrów, potrzeba było jeszcze 61 innych gór prześwidrować i wybudować w nich tunele liczące razem 41,423 metrów długości, powznosić wspaniałe wiadukty nad wodami głębokich jezior, wśród gór których szczyty wiecznym śniegiem i lodowcami są pokryte, mosty nad przepaściami, których dna trudno jest dojrzeć, wreszcie ułożyć drogę żelazną pnącą się wężykiem na znaczne wyniosłości.

Droga żelazna Gotarda zaczyna się w Lucernie a kończy się w Medyolanie. W biegu swem dotyka najpiękniejszego jeziora Czterech kantonow, wchodzi w kotlinę jeziora Lagomaggiore, przebywa wszerz jezioro Lugano i przesuwa się obok południowego końca jeziora Como. Samo wymienienie tych nazw może dać wystarczające pojęcie o pięknych i niesłychanie przemawiających do fantazyi i uczuć człowieka obrazów, które widzieć można z wagonów kolejowych. Kiedy po jednej

stronie widnieją wznoszące się we mgle wyżyny, z drugiej strony widzimy albo słonko kąpiące się w obszarach wody, lub jak w nocy dwa nieba, w pośród których pociąg zdaje się być jak meteor przesuwający się między milionami światów niebieskiej przestrzeni.

Dalej sunie się dolina Reissy, zamknięta Uryjskiemi Alpami; olbrzym Gotard, przez którego szczyt jeszcze niedawno przeprawiano się na saniach, wśród zawiei i burzy śnieżnej, dalej uśmiecha się do nas dolina bystrego Tessynu skalista, dzika, wspaniała, wąwozy Salverdo, Dazio po nad któremi wznosi się pasmo gór niebotycznych Monte-Cenere, zielonemi gajami i wieńcami pokryte pochyłości południowej części kantonu Tessyńskiego, wsie szwajcarskie schludne, dobrze zabudowane, miasta Lucerna, Schwyc, Altdorf, Belinzona, Lugano, Chiasso, wreszcie Como i Mediolan.

Z tą główną drogą łączą się jeszcze inne drugorzędne linie wiodące do Turynu i Genui, której port, przez otwarcie kolei Gotarda bardzo się ożywi, część bowiem handlu i to może główną odwróci od Marsylii i Tryestu, ażeby go sprowadzić na najprostszą drogę przez Szwajcaryą do Belgii, Holandii, do jednej części Polski i krajów skandynawskich.

Słowem, kolej ta obiecuje Włochom znaczne bogactwo i ruch, Szwajcaryi podniesienie zamożności a i dla Niemiec nie będzie bez korzyści...

O znaczeniu strategicznem tej linii trudno pisać ale zdaje się, że dla Francyi przedstawia pewne niebezpieczeństwo. Widzą to Francuzi i dla zneutralizowania szkodliwych dla siebie następstw zbliżenia Włoch do Niemiec przez kolej Gotarda, spieszą się z wybudowaniem nowej linii wiodącej przez Alpy, Szwajcaryą i Simplon, na przestrzenie młodego Królestwa Włoskiego, które coraz samodzielniej występując tak wzrasta w znaczeniu. Te kilka słów najlepiej wytłomaczyć mogą przyczyny wielkiego zbiegowiska ludzi na otwarcie kolei Gotarda i zarazem powody dla których nadano aktowi temu charakter uroczysty narodowego święta.

Uroczystość urządzał rząd szwajcarski i dyrekcya kolei. Rządy Królestwa Włoskiego i Cesarstwa Niemieckiego, które znacznemi subwencyami dopomagały Szwajcarom do wybudowania kolei, zostały urzędownie zaproszone do wzięcia udziału w uroczystości. Rozpoczęła się ona dnia 21 maja a skończyła 25 t. m. odbywając się prawie równocześnie wzdłuż całej linii na każdej stacyi, głównie jednak w Lucernie, w Lugano i w Medyolanie.

Gdyby mi przyszło szczegółowo opisywać przyjęcia na stacyach wśród okrzyków ludności, muzyki i strzałów, rozdawania bukietów gościom przez dziewice świątecznie w białe suknie i wieńce przystrojone, wspaniałe śniadania, olbrzymie bankiety, ognie sztuczne, toasty i niezliczone mowy, zapełniłbym kilka numerów Tygodnika. Jako więc tylko korespondent ograniczę się na krótkim jedynie opisie.

Pierwszy dzień zeszedł na przyjęciu gości, zaproszonych przez Szwajcarów. Przyjechali z dwóch stron: Włosi, pomiędzy którémi znajdował się i nasz przyjaciel Correnti, ministrowie Baccarini, Acton i Berti, Techio prezes włoskiego senatu i mnóstwo deputowanych senatorów, a co więcej 32 korespondentów włoskich gazet, a chociaż kobiety nie były zaproszone jednakże Włosi przywieźli je z sobą, tak, że się uformował liczny orszak około trzystu osób wynoszący, których powitali na granicy członkowie rządu związkowego szwajcarskiego i dyrektorzy kolei. Przyjęcie to odbyło się w Lugano.

Włosi byli nawet początkowo na Szwajcarów nieco rozgniewani. Oskarżali ich o skąpstwo z powodu iż tylko ograniczoną liczbę zaproszeń i biletów wolnej jazdy posłano do Włoch — entuzyazm jednak z jakim ich wszędzie witano, przyjęcie serdeczne i mowy przyjacielskie, rozposzyły nieukontentowanie.

Niemcy witani byli w Bazylei, ale mniej zadawano sobie trudu w okazywaniu im sympatyi i zapału.

Niemców urzędownie zaproszonych było tylu co Włochów. Pomiędzy nimi byli ministrowie: Bitter i Bötticher, dalej Delbrück, Haselbach, Lasker, Bleichröder, Oppenheim, Hanseman, poseł niemiecki przy rządzie szwajcarskim jenerał Röder i wielu posłów mniejszych państw niemieckich przy tymże rządzie akredytowanych.

Po umieszczeniu przybyłych w pałacach hotelowych Lucerny, nastąpiły prywatne przedstawienia.

Prezydent związku szwajcarskiego pan Bavier, jako też członkowie rządów kantonalnych i sejmów szwajcarskich, będąc gospodarzami w swoim kraju pierwsi przedstawili się gościom, później zaś byli pośrednikami w zaznajamianiu się ich pomiędzy sobą.

Reprezentantów jednak rządu austryackiego i francuzkiego nie było na tej uroczystości.

Czy ich nie zaproszono, czy też zaproszeni nie przybyli? Nie wiem — ale każdego to uderzyło, zwłaszcza że uroczystość miała charakter *jakby* zbratania się trzech narodów: włoskiego, szwajcarskiego i niemieckiego.

Francuzów nawet prywatnie biorących udział nie było wielu, gdyż oprócz czterech korespondentów gazet francuzkich nie wiem czy więcej choć jednego możnaby się było dopatrzeć.

Nie brakło rozumie się i korespondenta „Timesa" wraz z którym przybyło czterech innych angielskich sprawozdawców, lecz urzędownie Anglia świeciła swoją nieobecnością.

Mówcy szwajcarscy zapewniali o swoich uczuciach przyjaźni i pokoju i przedstawiali kolej Gotarda, jako dzieło sławy i pożytku dla całej ludzkości, spodziewając się że węzły nauki, handlu, przemysłu, wolności i pracy, coraz więcej łączyć będą narody w jeden bratni związek cywilizacyjny.

Dzień 22 maja należał do najprzyjemniejszych i najwięcej uroczystych. Na dwóch wielkich ustrojonych chorągwiami parowcach „Italia" i „Germania" goście przy odgłosie muzyki i okrzykach nad brzegiem zgromadzonej ludności, zwiedzali czarujące brzegi jeziora czterech kantonów, aż do Fluelen.

Jakie myśli nasuwało Niemcom wspomnienie Wilhelma Tella, którego pamięć uwieńczona jest w skalistym pomniku, wychylającym się z wody i w kaplicy ozdobionej freskami, przedstawiającemi pomiędzy innemi śmierć tyrana Albrechta Gesslera, możemy się tylko domyślać z poważnej zadumy ministrów p. Bismarka.

Tegoż dnia jeszcze ośm pociągów zawiozło gości w eleganckich wagonach, na szczyt Rigi, 5,000 stóp przeszło. Uczta tu poranna nie odbyła się bez mów, które Szwajcarzy, zwykle małomówni, lubią prawić przy każdej uroczystości.

Ale godzina uderzyła — statki odpływają, aby jeszcze na oznaczony czas dowieźć gości do Lucerny, gdzie przygotowana jest uczta dla 700 osób kosztem rządu szwajcarskiego i dyrekcyi kolei Gotarda.

Trudno mi tu będzie przytaczać z kolei treść wszystkich toastów.

Pierwszy przemówił prezydent Szwajcaryi pan Bavier i wniósł toast na cześć króla Włochów, cesarza Niemieckiego i obu narodów, w przyjaźni ze Szwajcaryą zostających. Zingg opowiedział dzieje budowy kolei Gotarda, jako jej dyrektor i wzniósł toast na pomyślność tego dzieła pokoju i cywilazycyi; jenerał Röder za pomyłność Szwajcaryi; Baccarini — trzech narodów; Techio zaś na cześć szwajcarskiej i włoskiej szlachetności.

I znów nowa niespodzianka! Zapalono iluminacye. Wybrzeża lucerańskie pełne ludu, oświetlone elektrycznem światłem i bengalskiemi ogniami, wszystkie zaś góry, nie pomijając nawet wysokiego szczytu Pilatusa, czarowały dziwnemi płomykami palącej się smoły w beczkach. Widok był czarodziejski zwłaszcza na zamknięte między górami jezioro, które błyszczało blaskami dyamentów w zielonej oprawie...

Dzień dwudziesty trzeci maja poświęcony był podróży do Medyoalanu. Cztery pociągi wiozące gości wyjechało z Lucerny. Jeden pociąg wiózł samych Szwajcarów zaproszonych przez Włochów.

Po drodze w Lugano odbył się bankiet na którym rozgadał się towarzysz p. Bismarka p. Bötticher. Sławił Szwajcaryą i podniósł jej inicyatywę w sprawach ludzkości. Poczynając od słów, że Towarzystwo Czerwonego Krzyża złagodziło okrucieństwo wojny, a krzyż ten jest herbem Szwajcaryi, dodał, że pocztowy związek narodów, który obejmuje całą kulę ziemską, jest także dziełem Szwajcaryi a teraz i kolej Gotarda jej zawdzięczamy. Życzył dalej ażeby Szwajcarya tak mądrze rządząca się, posiadająca tak wyborne instytucye, pozostała zawsze na tej drodze pięknej, godnej zazdrości, którą jest niesienie pokoju i cywilizacyi dla całej ludzkości. Po tych toastach, pięknych mowach i zachętach Bötichera, który rozumie wyśmienicie na czem spoczywa właściwa cywilizacya, a tego nie umie czy nie chce przelać w swoich ziomków, opuściło całe zgromadzenie Lugano i nie zatrzymało się aż w Medyolanie, gdzie szczególniej z gościnnością podejmowano Szwajcarów.

Dnia dwudziestego czwartego książę Amadeusz, brat króla, dał śniadanie zaproszonym dygnitarzom. Kolonia Szwajcarów w Medyolanie ugaszczała także swoich ziomków, jak również Włochów i Niemców. Koncert na cześć gości w teatrze i bankiet w sali ogrodu miejskiego pod prezydencyą księcia Amadeusza, który zastępował samego króla, przewyższył wspaniałością i artyzmem urządzenia bankietów w Lucernie i w Lugano. Mów wypowiedziano tam bardzo wiele. Pierwszy zabrał głos książę Amadeusz i pił zdrowie siedzącego obok siebie prezydenta Szwajcaryi. Nie zapomniano co prawda i o Niemczech, lecz najwięcej sławiono Szwajcarów. Wieczorem katedrę medyolańską ślicznie uiluminowano.

Szwajcarzy przyznają, iż Włosi przewyższyli ich w umiejętności organizowania uroczystych manifestacyi i bankietów. Zwiedzano Medyolan, robiono wycieczki i tak zszedł dzień 25 maja.

Jak dalej cała polityka Europy, handel i przemysł, oświata i cywilizacya układać się będą, trudno zawczasu to przepowiadać.

Faktem jest tylko, że w dziewiętnastym wieku

nie dokonano większego arcydzieła, które przetrwa tysiące lat i pozostawi pamiątkę pracy, która w połączeniu z nauką i wytrwałością cudów prawie dokonać jest zdolna.

BAZYLI ALEXANDRI.

Jego stanowisko i znaczenie w dzisiejszej Rumunii.

Przez

D-ra Rudolfa Rożniatowskiego.

Bazyli Alexandri, „książę rumuńskiej pieśni", jak go słusznie rodacy nazywają, należy bez zaprzeczenia do rzędu wielkich poetów naszego stulecia. Z utworami jego rumuńska literatura wchodzi w zakres literatury powszechnej, a dźwięk pieśni rumuńskiej zlewa się z chórem innych cywilizowanych narodów.

Nie wchodząc w biograficzne szczegóły przeszłości żyjącego jeszcze poety, chciałbym choć pobieżnie określić duch, który ożywia wszystkie utwory jego i to stanowisko, jakie rumuński wieszcz zajmuje śród innych genialnych pieśniarzy XIX wieku.

Urodzony w 1821 roku, z rodziny pochodzącej pierwotnie z Wenecyi, Alexandri pobierał początkowo nauki na pensyi francuzkiej w Jassach, a następnie od roku 1834 kształcił się w Paryżu. Pomimo jednak cudzoziemskiego i jak na owe czasy bardzo modnego wychowania, poeta nie wynarodowił się, nie przejął się kosmopolityczną trucizną i pozostał na zawsze szczerym Rumunem.

Tak, Alexandri to Rumun; szlachetny, uczony i wielce utalentowany Rumun. W jego duszy nie ma nic obcego. Jakkolwiek rozlegle ukształcony, czuje on, myśl i pisze po rumuńsku. Gorący, lecz rozumny patryotyzm stanowi najwybitniejszą cechę jego umysłu i serca. W bezwyznaniową blagę on się nie bawi i na kosmopolitycznego liberała nie pozuje. Opatrzność stworzyła go Rumunem, to też nie kłócąc się z wolą Opatrzości Rumunem jest.

Człowiek z takim wielkim talentem, gdyby był pisał w innym, bardziej rozpowszechnionym języku, niezawodnie dawnoby pozyskał i szeroki rozgłos i wielką sławę. Alexandri o sławie nie myślał, a rozgłosu nie szukał: inne szlachetniejsze uczucie wrzało w duszy poety...

Bardzo młody, bo zaledwie ośmnasty rok życia liczący, powrócił Alexandri w 1839 r. do Rumunii i od tej chwili aż do dni naszych pracował i pracuje dla dobra rodzinnej ziemi i narodu swego.

A ziemia ta i naród bardzo potrzebowały tej pracy.

Nieszczęśliwy to był kraj w owe czasy, ta szczęśliwa dziś Rumunia. Magnaci i zamożniejsi właściciele ziemscy, polakierowani francuzczyzną i salonową ogładą, lecz w gruncie nieuki i niedołęgi, trwonili za granicą zasoby rozległych majątków, rujnowali się dla dogodzenia bezmyślnej próżności i zaciągali długi, nie myśląc o wypłacie. Klasa średnia nieukształcona i mniej zamożna siedziała wprawdzie w domu, lecz pędziła życie nieoświetlone żadną szlachetniejszą dążnością i jeśli pracowała to chyba tylko dla kawałka chleba. Lud ciemny, ubogi, choć z usposobienia dobry i gościnny, odznaczał się tylko zdrowiem i siłą muskularną, żył jak żyją wszystkie ciemne ludy, pracował leniwie, nie troszczył się o jutro, znosił apatycznie niewolę i śpiewał czasem rzewne „dośny" lub wesołe piosenki. Rząd był słaby, a obieralni „hospodary" po większej części sprzedajni, chciwi i umysłowo niedołężni. Praca umysłowa nie miała ani ogniska, ani kierunku, utwory literackie, czasem wcale dobre, zjawiały się sporadycznie, świeciły czas jakiś i tonęły w zapomnieniu. Żaden głos nie brzmiał donośnie, żadne słowo nie budziło do życia. Było tu smutno i głucho...

Śród tego rozległego trzęsawiska gdzieniegdzie podnosił głowę jakiś kwiatek lepszych chęci i jaśniejszych myśli, lecz i tę głowę kołysał wietrzyk nieokreślonych dążności lub pragnień, które w owe czasy do „pobożnych marzeń" należały.

Na takimto gruncie stanął młody Alexandri, ten opatrznościowy człowiek dzisiejszej Rumunii. Przyniósł on z sobą wielki talent i zacne kochające serce, dźwięk uroczej mowy i prawdziwe poczucie piękna, przyniósł szczerą miłość do wszystkiego co szlachetne i rozumne, a wstręt do tego, co nizkie i głupie, wielki zapał do pracy i wytrwałość w obranym kierunku, słowem przyniósł ożywcze tchnienie lepszego życia dla ojczyzny swojej. Śmiało też twierdzić można, iż żaden z wielkich poetów naszego wieku nie wywarł tak zbawiennego wpływu na swój naród, jak Bazyli Alexandri. Dlaczego? bo zawsze śpiewał, jak prawdziwy mistrz słowa, a jako wielki patryota kochał tych, dla których śpiewał.

Nie jest to poeta marzyciel lub pesymista; nie buja w obłokach, nie tonie w mrzonkach, nie rozpływa się w narzekaniach; Alexandri chodzi po ziemi i na ziemię spogląda, chociaż duszę jego oświetla promień prawdziwego natchnienia.

Oprócz dramatu, komedyi i kilku mniejszych poematów, rozbiorów, krytyk i powieści, przeważną ilość jego utworów stanowią wiersze rozmaitej wielkości, treści i formy, w których poeta opiewa piękno rodzinnego kraju, podania ludowe, uczucia, wrażenia, poglądy i rozmyślania swoje. Wszystko jednak w tych wierszach jest rumuńskie: niebo i ziemia, pola i łąki, drzewa i kwiaty, woda i powietrze, wypadki i ludzie, piosenki i dziewoje. A ile w tych wierszach mistrzowstwa! poeta igra formą, igra muzyką i powabem słowa, a zasobny rym sam bieży na usługi jego; myśl płynie, dźwięczy i śpiewa razem; nigdzie przesady, nigdzie sztucznego szykowania górnolotnych wyrazów; poeta śpiewa prosto, jasno, rzewnie, czasem ogniście, czasem serdecznie, jakby w jakiemś upojeniu, jakby chciał powiedzieć: „kraju mój kocham cię i śpiewam dla ciebie", tak ta miłość przeziera w każdej zwrotce, w każdem słowie niemal. Brzmi to tak pięknie, czule i miłośnie. Trzeba czytać w oryginale te świetne strofy, żeby odczuć i zrozumieć ile wdzięku, melodyi i prawdziwego piękna wcielił poeta w te ulotne utwory swoje. Istny to wirtuoz rumuńskiej mowy, jak Słowacki naszej. Niestety, na tem się kończy podobieństwo dwóch poetów. Nasz wieszcz tonął w marzeniach i z marzeń snuł utwory swoje, rumuński poeta zajęty jest rzeczywistością, która go szczerze obchodzi; umie on jednak pochwycić jej piękną stronę i artystycznie odwzorować w słowie. Czytają go Rumuni starzy i młodzi, uczeni i profani, a wszyscy rozumieją i nikt się z nim nie kłóci, bo gdy dusza odczuwa urok piękna, zdrowy rozsądek odpowiada na poglądy autora twierdzącem: tak!

Wszelakoż patryotyzm Alexandri nie jest wcale słodziutko dobrodusznym. Poeta dobrze rozumiał tę prawdę że gdzie nawet wyższe i niby inteligentniejsze warstwy narodu nie mają ani poczucia godności narodowej, ani szerszych pojęć o potrzebach kraju, tam o postępie i rozwoju mowy być nie może. To też opiewając wdzięki natury i zbierając podania ludowe, nie zapominał o współczesnem pokoleniu i żywotnych interesach jego. Z właściwą sobie werwą uderza na nikczemność i głupotę, i rzecz godna uwagi, że styl jego melodyjny i powiewny, gdy opisuje obrazki ludowe lub piękno przyrody, staje się ognistym i niemiłosiernie zjadliwym, gdy chodzi o karcenie wad narodowych.

Zanosiło się na wielkie wypadki w dziejowem życiu Rumunii. Zbliżała się uroczysta chwila zjednoczenia Mołdawii i Wołachii, ta chwila, o której od wieków marzyły wszystkie szlachetniejsze serca i lepsze głowy obu szczepów jednego narodu. Owoż stało się, że w tej ważnej chwili pewne stronnictwo w Mołdawii, bądź to pod wpływem haniebnej prywaty, bądź haniebniejszej jeszcze przedajności, nie sprzyjało zjednoczeniu. Wtedy to napisał Alexandri swój słynny wiersz pod tytułem „Mołdawia w 1857 r."

Znakomity to utwór nietylko poetyczny, ale i dziejowy razem. Jest to ogień, który pali i zniszczestwia przeciwników, a oraz jest to przeraźliwy krzyk boleści nad hańbą własnego narodu, taki krzyk, od którego drgnęły najbardziej znikczemniałe serca. W 21 strofie poeta wylał tyle zapału, oburzenia, bólu, żółci i pogardy, że już więcej wylać niepodobna, a zakończył owem strasznem przekleństwem, które podziśdzień brzmi i wieki brzmieć będzie w uszach Rumunów. Przytaczam je w dosłownem, choć, przepraszam, nieudolnem tłomaczeniu, jako rzecz, która wywiera przeważny wpływ na opinią publiczną w rumuńskiem społeczeństwie.

„Wy — mówi poeta — co własną ręką kopiecie grób ojczyźnie swojej, co krwiożerczą paszczęką szarpiecie dłoń, która was chlebem karmi i ranicie pierś, która was wypieściła; wy, co odpowiadacie zdradą, gdy kraj was wzywa, jak ukochanych dzieci; wy co zapomnieliście o prawie sprawiedliwości i prawie natury — przekleństwo niech spadnie na wasze zdradzieckie głowy, przekleństwo i nienawiść całego narodu! Oby wam życie zawsze było czarne i gorzkie; obyście wyginęli bezpotomnie, obyście nie mieli imienia i ojczyzny, ani miejsca dla mogiły na rodzinnej ziemi! A gdy drżący i strupieszali wchodzić będziecie w progi wieczności, oby śmierć wyryła na waszych czołach te straszne słowa: bezecni zdrajcy i nieprzyjaciele kraju!"

Jak piorun spadły te słowa na głowy winowajców. Cios był krwawy i dobrze wymierzony. Co było począć? jak zemścic się nad poetą? Rzucić paszkwil lub uciec się do zniewagi? Paszkwil nie wieleby pomógł, bo poeta był powszechnie znanym i lubionym, a zniewaga pogorszyłaby jeszcze bardziej i bez tego złą sprawę. Pokryć to milczeniem było niepodobna, gdyż cały kraj czytał rozgłośny utwór, a ognisty wiersz poety porywał nawet prostaczków. Pozostało jedno: czynem zaprzeczyć słowom poety. Wprawdzie gdzieindziej krzyknięto by może: hejże! na Soplicę! rzucono by błotem, lub wywołano gorszący skandal. W Mołdawii stało się inaczej. Trzeba oddać sprawiedliwość Mołdawskim oponentom zjednoczenia, że pomimo zepsucia i lekkomyślności, pomimo złego wychowania, posiadali jednak wrodzone poczucie prawości, które ich od hańby uratowało. Wrodzony ten głos powiedział im, że poeta miał słu-

szność i że haniebny czyn tylko zacnem życiem odkupić można.

Bądźcobądź szczęśliwy poeta zwyciężył; bo gdy później ogłoszono zjednoczenie księztw w Bukareszcie i w Jassach, nikt już nie oponował, nikt przekleństwa jego dźwigać nie chciał. Zjednoczenie przyszło do skutku i marzenia wieków stały się rzeczywistością.

Gorliwy stronnik unii, już w r. 1856 napisał Alexandri ów znakomity hymn zjednoczenia: „Hora Univei", który podziśdzień porywa umysły i serca wszystkich szlachetnych Rumunów.

Wspaniała to pieśń. W żadnej innej literaturze nie znam utworu, któryby wywarł tak zbawienny wpływ na dziejowe życie narodu, jak ta „Hora Univei". Nie jest to szowinistyczna marsyljanka, jak twierdzą niektórzy w nieświadomości; jest to raczej poetyczna spowiedź z przekonań narodu, tryumfalna pieśń jego wiary i nadziei; jest to hasło tego prądu, co porywa masy na drodze dziejowej. Alexandri w tym hymnie prześcignął sam siebie i stworzył jedyne w swoim rodzaju arcydzieło. Dźwięczy to jak stal i brzmi jak muzyka organów; każdy wyraz prosty i jasny, a w każdym wyrazie tyle mocy, zapału i ognia, tyle wzniosłego uczucia i męzkiej powagi, że cały naród drgnął słuchając tej pieśni życia, wyśpiewanej dla żywych. Pod wpływem jej dźwięków stał się cud w XIX wieku: Mołdawianie i Wołosi znikli, a na ich miejscu zjawili się Rumuni, i dziś zaczynając od króla aż do żołnierza, aż do ubogiego kmiotka, każdy stanowczo odpowiada: „Rumunem jestem". Rumuni też nie mogą bez wzruszenia wymawiać tego hymnu: głos ich drży i łzy stoją w oczach... łzy radości i zadowolenia. Zaiste jest to pieśń Opatrznościowa, bo tylko Opatrzność w stanowczych chwilach daje takie natchnienie i taką moc słowu ludzkiemu.

Wszelako gromiąc zdrajców i budząc w masach poczucie godności i jedności narodowej, Alexandri nie zapomniał i o wadach swoich rodaków. Poeta wiele podróżował po rodzinnej ziemi, zwiedził niemal każdy jej zakątek; poznał w obcowaniu rozmaite stany, typy i usposobienia ludzi, ich zalety, wady i narowy, i na drodze praktycznej, że tak powiem doświadczalnej, przyszedł do przekonania, iż tam, gdzie przeważna większość jednostek, nie ma zamiłowania do umysłowego życia, a żyje bez celu i troski o jutrze: wszelka społeczna praca jest bardzo trudną lub całkiem niemożebną. I rzeczywiście, co począć z ludźmi, co nietylko ogólnych, ale nawet własnych interesów i potrzeb zrozumieć nie mogą? Jak wymagać od kogoś żeby zrobił to, o czem pojęcia nie ma? Nieukształcone społeczeństwa zwykle pędzą żywot próżniaczy, a że duch ludzki bezczynnym pozostać nie może i wrażeń potrzebuje, społeczeństwa takie namiętnie przywiązują się do zabaw: zajmują ich baliki, stroje, tańce, ploteczki i poziome intrygi; ba, nawet *ad majorem Dei gloriam* skakać gotowe. Niestety, nieuctwo, blaga i próżniactwo są to trzy straszne klęski, z któremi walczyć niełatwo. Nie pomagają tu kazania, na nic się nie zdały namowy. Szkoda słów i czasu. Alexandri też nie myślał prawić kazań rodakom swoim; dla dopięcia celu obrał on inną, skuteczniejszą drogę: postanowił wyśmiać i ohydzić głupotę w oczach narodu.

Już w roku 1844, będąc dyrektorem teatrów w Jassach, napisał komedye: „Jerzy z Sadogóry", „Pani Kiritza w Jassach", „Pani Kiritza na prowincyi" i kilka innych, które wywołały zachwyt w całej Rumunii. Publiczność serdecznie się śmiała, patrząc na te po mistrzosku skreślone wzory tępych głów, lecz naśmiawszy się do syta, uczuła wstręt do nich. Dziś z pewnością żaden Rumun nie chce być „Jerzym z Sadogóry", ani żadna Rumunka „Panią Kiritzą".

(*D. n.*)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Nim przystąpimy do zakończenia tej pogawędki i nim uderzę w strunę bardonu wesołości niech mi wolno będzie parą słowami wspomnieć o nowem peryodycznem wydawnictwie p. T. Paprockiego, a mianowicie o **Wiadomościach Bibliograficznych** wychodzących raz na miesiąc w objętości 2 — 3 arkuszy druku (prenumerata półroczna na prowincyi rs. 1 kop. 25, w Warszawie rs. 1.) Wydawnictwo pomienione wedle naszego przekonania znajdować się winno w rękach wszystkich ludzi, którzy choć cośkolwiek naszą literaturą interesują się. Wydawnictwo pomienione obejmuje najprzód: „Kronikę bibliograficzną" w której spotykamy treściwe oceny różnych prac literackich jak np. Zamierzone prace umiejętne (zapewne naukowe) na podstawie Bibliografii Estreichera, Spis bibliograficzny pamiętników mających związek z historyą lub literaturą polską, Rocznik pedagogiczny S. Dicksteina, Notatnik bibliograficzny Glińskiego, Dzieła K. Supińskiego, Biblioteka umiejętności prawnych, Zbiory archiwalne ś. p. Lud. Zielińskiego i t. d., dalej idzie: Wykaz nowych książek nadesłanych do Warszawy, Nowiny wydawnicze, Nekrologia, Bibliografia książek (wydanych w Królestwie Polskiem i obrębie Cesarstwa) Bibliografia czasopism za każdy miesiąc. Pomijając poprzednie działy, znakomicie opracowane, ten ostatni milczeniem zbyć niepodobna jest on bowiem nadzwyczaj cennym, przedstawiając nam jak najdokładniej cały ruch piśmiennictwa naszego i ułatwiając każdemu odszukanie danych prac literackich rozproszonych po łamach różnych codziennych, tygodniowych i miesięcznych pismach. Gorąco polecając „Wiadomości bibliograficzne" czytelnikom naszym, nie możemy jak tylko życzyć p. Paprockiemu serdecznego „Szczęść Boże" do podjętej przezeń pracy.

Z po za „Wiadomości bibliograficznych" uśmiechają się do nas „Szkice Klina, część druga zeszyt pierwszy: U drogowskazu". (Warszawa 1882 r., str. 42.) Wyczytawszy na czele Szkiców „Wyciąg z recenzyi o pierwszej części Szkiców" i niechcąc aby i moja znalazła pomieszczenie w zapowiedzianym następnym zeszycie, poprzestaję na zanotowaniu faktu, że „Szkice Klina" wyszedłszy z pod prasy zdobią półki księgarskie.

Na zakończenie pragnąłbym podać rozbiór fraszki p. Włodzimierza Wysockiego, wydrukowanej w Kijowie na prześlicznym welinowym papierze. Zamiar mój jednak mimo najszczerszej chęci do skutku doprowadzić nie mogę z wielu a wielu przyczyn, które choć w części rozjaśnią niektóre poniżej przytoczone ustępy z pracy p. Wysockiego:

Str. 5. A tak cmokasz i *wiokasz* a walisz po [szkapie,
Która się ledwie wlecze, ale mocno sapie!...
Str. 7. I dlatego — uważasz — nie trzeba nic
Tylko... [*więcej*,
No ja wiem, panu potrzeba *pie*-[*niędzy*!...
Str. 9. Po obu stronach drogi, na prawo i lewo,
Gdzie — niegdzie *stoi kwaśne i przemo*-[*kłe drzewo*.
Str. 11. Na to, aby w człowieku nie ostygł zapał,
By nie zgnuśniał *i czasem sobie się po*-[*drapał*!
Lecz, żeby walcząc z *pchłami*, nie zgi-[nął w tej walce,
Małe mu *paznogciami* Bóg obdarzył [palce!
Dalej już konkludując w sposób dar-[winowski,
Wyprowadzam ztąd proste i niezbite [wnioski,
Że gdyby *wszów* nie było — naszych [palców końce,
Nie miałyby paznogci...
Str. 16. Niezwykle tu się *kraczą* (ma zna-[czyć *krzątają*).
. . . .
. . . . ów trzebie *dywana*! (!)
Str. 20. *Kłótnie zagasić*.
Str. 21. *Bywałoś* się i najadł... i t. d., i t. d.

Z tego co tu przytoczyłem osądzić można, czy możebnem jest napisać co o tem utworze poetycznym p. Wysockigo? Dlatego też kończę pozostawiając „Kolcom" rozbiór tego arcydzieła.

Wł. Kor. Zieliński.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Turyści przybywający do Werony, słynnej z romantycznej przygody Romea i Julii, podziwiają wspaniałe grobowce Scaligerów, czyli panów della Scala, udzielnych książąt Werony w średnich wiekach. Był to w XIII i XIV wieku jeden z najpotężniejszych rodów północnych Włoch, a Can Grande della Scala zasłynął przytułkiem danym wielkiemu piewcy Beatrixy i unieśmiertelniony został dedykacyą przez wieszcza trzeciej pieśni swojej, to jest *Raju*. Otóż ostatni potomek tego znakomitego, panującego niegdyś rodu, zgasł niedawno bezpotomnie w Weronie, w podeszłym wieku. Starzec ten był w ostatniej nędzy, jedynym środkiem utrzymania jego było łatanie starego obuwia, jakiem się zajmował aby nie umrzeć z głodu, który nieraz mu dokuczał. Słabowity, obciążony wiekiem, nieusposobiony do innego zajęcia, pracował jak umiał aby po jałmużnę nie wyciągać ręki. Sześćdziesiątkilkoletni starzec, co dzień rano wstawszy udawał się do kościoła a ztamtąd na cmentarz gdzie stoją groby Scaligerów, wzniesione napowietrznie na postumentach swoich, zachwycając podróżnych jak fantastyczna teatralna dekoracya. Wracając pewnego dnia z pobożnej wycieczki, wstąpił do starej przekupki z którą lubił pogawędzić, aby kupić trochę sałaty i kartofli stanowiących całe jego pożywienie. Przyszedłszy tam padł rażony apopleksyą; ze śmiercią tego wielkiego pana a zarazem szewca, łaty zapomnianego od tylu bogaczy i świeżej szlachty, którą z wyżyn swych średniowiecznych tradycyi mógł śmiało uważać za parweniuszów, wygasło jedno z największych Dantejskich imion Italii. Jakże to niepochlebne daje świadectwo o arystokracyi włoskiej, która nie umiała poczuć się do obawiązku aby ostatniemu potomkowi

udzielnego i historycznego rodu zapewnić byt choćby najskromniejszy. Nieszczęsny starzec patrząc codzień na wspaniałe grobowce naddziadów jakże boleśnie czuć musiał upadek i osamotnienie swoje! Dante jakby dla niego napisał w genialnym poemacie swoim: „Nessun maggior dolore, che riccordarsi del tempo felice nella miseria”. (Nie ma większej boleści jak chwile szczęścia wspominać w niedoli.)

*** Hrabia Ździsław Zamoyski który niedawno dał 5,000 rs. na założenie kasy rzemieślniczej na Pradze, obecnie złożył nową hojną ofiarę na rzecz dobra publicznego, to jest: 1,000 rs. na ochronę sierot chłopców imienia Stanisława Jachowicza, i 1,000 rs. na szwalnię mającą być otworzoną przy Warszawskiem Towarzystwie Dobroczynności, w której sieroty, wychowanki Towarzystwa, mogłyby uczyć się kroju i szycia na maszynach, co zapewniłoby im uczciwy sposób do życia, zarobkując jako uzdolnione szwaczki, czy to w magazynach czy w domach prywatnych. Jest nadzieja że zakład taki urządzony zostanie przy ochronie dla dziewcząt imienia „Maryi” istniejącej w zabudowaniach po-Dominikańskich. Z funduszu ofiarowanego przez hr. Zamoyskiego, zakupione być mają maszyny do szycia, na których będą się uczyć szyć dziewczęta a także i osoby starsze przychodzące z miasta, które nie są w stanie kupić sobie maszyn. Jeżliby szwalnia taka nie przyszła do skutku, cały fundusz ma być obrócony na zakład imienia Jachowicza. Ofiarnością swoją hrabia Ździsław Zamoyski dowodzi że jest godnym potomkiem znakomitych zasłużonych przodków swoich; bodajby nam się tacy jak to mówią na kamieniach rodzili. A niestety! tak wiele lmamy *nieobecnych* a tak mało chcących naśladować szlachetną ofiarność hr. Z.

Jużto ze wszystkich części dawnej Polski, Garicya przoduje ofiarnością na cele publiczne. Coraz dowiadujemy się o nowych zapisach i darowiznach. Obecnie p. Feliksa Marya z hrabiów Golejewskich Czarkowska, złożyła wydziałowi krajowemu za pośrednictwem pełnomocnika swego 100,000 złr. w 5% procentowych listach hipotecznych galicyjskiego akcyjnego banku hipotecznego, z przeznaczeniem utworzenia z tego kapitału „fundacyi imienia Feliksy Maryi z hr. Golejewskich Czarkowskiej, dla rękodzielników i przemysłowców polskiego pochodzenia, podejmujących w kraju zawód rękodzielniczy i przemysłowy”. Połowa dochodów z tej fundacyi ma być obracaną na stypendya dla uczniów szkół przemysłowych lub rękodzielniczych, czy to w kraju czy za granicą, druga połowa na zasiłki do założenia warsztatów rękodzielniczych w kraju przez uczniów, którzy wyuczywszy się jakiegoś rękodzieła nie posiadają dostatecznego funduszu do rozpoczęcia swego zawodu. Prawo do stypendyów i zasiłku daje moralność, pilność i zdolność ucznia. Fundacya ta wejdzie w życie dopiero po śmierci fundatorki, która zastrzegła sobie do śmierci pobór kuponów. Cześć szlachetnej ofiarodawczyni, która choć mieszka stale w Paryżu nie zapomniała, że jest Polką i przedewszystkiem dobro ojczystego kraju powinna mieć na celu.

Drugim donioślejszym jeszcze faktem jest testament Tomasza Bodziocha, włościanina z Wojnicza, w Galicyi. Nie pobierając nauki w żadnej szkole rolniczej, odznaczał się przecież na swej zagrodzie tak wzorowem gospodarstwem, że ś. p. Władysław Dąmbski oddał mu zarząd dóbr Przybysławice. Zostawszy rządzcą, Bodzioch nie shardział, żył jak prosty włościanin, a po śmierci swego chlebodawcy powrócił do ojczystej zagrody. Obecnie złożony chorobą, napisał testament, mocą którego cały swój zapracowany i oszczędzony kapitał przeznacza na cele publiczne, a mianowicie: 10,000 złr. na stypendya w szkole rolniczej czernihowskiej; 6,000 złr. na bursę szkolną św. Kazimierza w Tarnowie; 500 złr. na straż ogniową w Wojniczu; 3,000 złr. na restauracyą kościoła w Wojniczu; 500 złr. na szpital w Wojniczu; 2,000 złr na „Macierz polską” we Lwowie.

*** Jak wiadomo p. Kieszkowski z Krakowa ogłosił w pismach projekt swój natchniony jak najlepszą intencyą, ale, niestety! niemożebny prawie z powodu nawału przeróżnych składek, aby ofiarą małych oszczędności dziesiątek tysięcy, zebrać fundusz na zakupienie arcydzieła Matejki „Hołd pruski”. Obecnie korespondent krakowski „Gazety Polskiej” donosi iż powzięto tam myśl daleko szczęśliwszą i praktyczniejszą. Istnieje w Krakowie Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń, które dzięki wzorowej administracyi cieszy się ogólnem uznaniem i wielkiem powodzeniem materyalnem. Podobno dywidenda Towarzystwa w r. b. ma dosięgnąć 30%. Otóż grono osób zacnych i poważnych należących do składu tej Instytucyi, podaje wniosek, aby Towarzystwo dało akcyonaryuszom tylko 25% a pozostałe 5% przeznaczyło na nabycie obrazu Matejki, który oddałby go pewnie za 50 — 60,000 złr. Piękny ten i rozumny projekt ma być wniesiony na nadzwyczajnem walnem zebraniu akcyonaryuszów, a przecież przypuścić nawet nie można aby między nimi znalazł się *jakiś Siciński*, któryby wystąpił z opozycyą — boć chyba i jego zwłoki tułałyby się całe wieki, jak owego posła Upitskiego. Jest więc nadzieja że zamiar tak szczęśliwie obmyślany da się urzeczywistnić, i „Hołd pruski” ozdobi ściany Muzeum w Krakowie, albo też zamku na Wawelu gdy tenże do dawnej świetności przywrócony zostanie.

Zawiadomienia.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Polki wyjeżdżające do Paryża, celem wykształcenia się w obranych przez siebie zawodach mogą znaleść u jednej z rodzin polskich w tem mieście: mieszkanie ze stołem, usługą i prawdziwie rodzicielską opieką. Bliższą wiadomość o warunkach nader przystępnych, można powziąć w Warszawie w Redakcyi Tygodnika Mód i Przyjaciela Dzieci. Widok Nr. 3.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami, oraz dla prenumeratorów na pocztę — Prospekt na pismo mające wychodzić w Petersburgu p. t. „Kraj”.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 26 Мая 1882 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 23, r. 1882.

LABIRYNT.
(Within The Maze.)

Przez

MISTRES H. WOOD.

(Dalszy ciąg.)

— W istocie, imię pana Smith jest Filip, rzekł Karol po krótkim namyśle; widziałem jego podpis na pokwitowaniach wydawanych fermierom. Filip Salter!... Byłoby to ważne odkrycie, Różo.

— Tak, jeżli się tylko nie mylę. Pod pozorem że czuwa nad Adamem, chce może ukryć samego siebie przed wzrokiem policyi.

Karol zamyślił się głęboko.

— Czy to nazwisko było napisane na pierwszej kartce książeczki, jak się pisze nazwisko właściciela?

— Tak mi się zdaje, ale nie jestem pewna, wiem tylko że było napisane na początku kartki. Gdybyśmy mogli dowiedzieć się czegóś pewnego... przekonać się że nasze podejrzenia są uzasadnione, mogłoby to nam dopomódz do wyzwolenia się z pod nadzoru tego człowieka. A! gdy pomyślę jakieby to było szczęście czuć się wolną! a jestem pewną że gdyby on nie sprzeciwiał się temu, Adam mógłby dostać się szczęśliwie za granicę.

Nie mogli rozmawiać dłużej gdyż było już późno, a Karol śpieszył się do brata oczekującego niecierpliwie jego przybycia. Biedny Adam Andinnian! Niecierpliwość jego była zupełnie usprawiedliwioną; jakąż inną rozrywkę mógł mieć w swem samotnem życiu, nad tę którą mu przynosiła obecność brata?

— Pomyślę o tem, Różo, i będę się starał dowiedzieć czegóś pewnego. Czy mówiłaś o tem z Adamem?

— Nie. Wiesz jak jest gwałtowny, i jak nie umie nad sobą zapanować. Zdawało mi się że będzie lepiej jeżeli pierwej z tobą pomówię o tem.

— Miałaś słuszność; nie wspominaj mu o tem obecnie.

Gdy Karol odchodził tego wieczora, Adam, pomimo jego usilnych próśb i przełożeń, odprowadził go aż do bramy, odpowiadając żartami na wymówki brata, że tak dobrowolnie naraża się na niebezpieczeństwo. Chwilami powstawała w umyśle Karola taż sama wątpliwość, którą kiedyś wyraził pan Plunkett: czy Adam posiada zupełnie zdrowe zmysły? i teraz właśnie zadawał sobie toż samo pytanie. Doszedł do samej bramy, i nawet gdy Karol już zamknął ją za sobą, rozmawiał z nim jeszcze i żartował wyglądając przez żelazne sztachety.

— Są to tylko niedorzeczne urojenia, mój kochany Karolu, odpowiedział na ostatnią uwagę brata. Noc ciemna, i może przeszedłszy milę drogi nie spotkałbyś żywej duszy... a zresztą, któż mnie zna w tych stronach?

Karol schował już klucz do kieszeni i zamierzał odejść, gdy usłyszał jakiś niewyraźny szmer i zaczął się przysłuchiwać uważnie. Rozróżnił wkrótce odgłos miarowych kroków, jakby kilku przynajmniej policyantów szło od kolei ku Labiryntowi. Nagle stanął mu w myśli ów nieszczęsny wieczór, w którym po drugiej stronie płotu usłyszał także kroki policyantów prowadzących do miasta więźnia, i nie przypuszczał nawet aby tym więźniem miał być brat jego rodzony?

— Czy słyszysz Adamie? zawołał z przerażeniem. Ukryj się na miłość boską!

Adam znikł między drzewami.

Trudno byłoby opisać przerażenie jakie wzbudziło w Karolu to przypomnienie przeszłości w połączeniu z obecnością brata, zbliżaniem się policyi i obawą zatruwającą mu każdą chwilę życia. Czy odkryli schronienie Adama i przychodzą po niego? Przypuszczał że tak było, i cierpiał na jawie męczarnie jakie przechodził tak często we śnie. Widział już wszystkie straszne następstwa jakie to pociągnie za sobą tak dla niego jak dla brata; widział się pokrytym niesławą; widział znów Adama na wyspie Portland skazanego do ciężkich robót, a nawet stojącego na rusztowaniu. Przebiegł co tchu na drugą stronę drogi, z obawy aby jego obecność przy bramie Labiryntu nie posłużyła za wskazówkę, a następnie szedł już wolno ku bramie swego ogrodu, gdzie zatrzymał się na pół martwy z przerażenia, chcąc być świadkiem tego co dalej nastąpi.

Niepodobna byłoby wysłowić jak wielkiej ulgi doznał Karol gdy się przekonał że nadchodzący minęli Labirynt i szli dalej. Wkrotce zdołał już dostrzedz że policyant i paru jeszcze ludzi nieśli cóś podobnego do noszów, za któremi postępowała jeszcze gromadka ciekawych.

— Co się stało? zapytał jak mógł najspokojniejszym głosem.

— A to ten biedny Whitte, sir Karolu, odpowiedział znający go policyant.

Po za lasem należącym do Foxwood było kilka małych domków, w jednym z nich mieszkał Whitte robotnik ze stacyi drogi żelaznej. Karol znał go z widzenia.

— Czy zachorował nagle? zapytał.

— Umarł, sir Karolu. Po południu nie przyszedł do roboty, a przed godziną znaleziono go nieżywego już na polu. Przyzwano pana Moore, i ten oznajmił że śmierć nastąpiła skutkiem porażenia od słońca.

— Co za smutny wypadek! rzekł Karol z współczuciem. A czy zawiadomiono o tem jego żonę?

— Posłaliśmy jednego z obecnych aby przygotował nieszczęśliwą; biedaczka została bez funduszu, z czworgiem czy pięciorgiem dzieci.

— Tak, wiem że miał kilkoro dzieci, proszę powiedz tej nieszczęśliwej kobiecie że odwiedzę ją jutro.

Szmer uznania rozległ się wśród obecnych; ta chęć pośpieszenia z pomocą dozwalała im wnosić że nowy baronet będzie równie dobry i litościwy jak zmarły sir Józef.

Gdy już kroki oddalających się przestały dać się słyszeć, Karol zwrócił się ku domowi przygnębiony udręczeniami i niepokojem, z postanowieniem przejrzenia starych gazet pozostałych po sir Józefie, aby się przekonać czy nie znajdzie w nich jakichś wskazówek, odnoszących się do Filipa Salter'a. Ach! gdybyż Adam zdrów i bezpieczny mógł przenieść się w jakieś odległe strony! oto myśl wiecznie tkwiąca w jego skołatanym umyśle.

XIX.

W jednym wagonie.

— Prędzej, sir Karolu, pociąg odchodzi.

Słowa te wyrzekł naczelnik stacyi do kupującego bilet sir Karola, na pociąg o jedenastej odchodzący do Londynu. Konduktor otworzył drzwi wagonu pierwszej klassy, i sir Karol zaledwie miał czas do niego wskoczyć. W wagonie tym siedziała jedna tylko kobieta z zapuszczoną na twarz woalką, nie spojrzał na nią aż gdy już pociąg ruszył, a poznawszy zawołał z niewymownem zadziwieniem.

— Czyż to być może!... ty Różo!...

Uśmiechnęła się i odrzucając woalkę przysunęła się aby mu powiedzieć co ją skłoniło do wyjazdu. Mówiła cicho, a rozlegający się w tej właśnie chwili świst lokomotywy, tak zagłuszał jej słowa iż niektóre tylko wyrazy doszły jego uszu!

— Mały ten wypadek... wczoraj wieczór .. zmusił mnie jechać... Bennet... Gdy świst ucichł, mówiła dalej: Z początku bardzo byłam niezadowolniona z tej podróży, taka teraz jestem nieśmiała i bojaźliwa. Teraz jednak jestem kontenta, gdyż daje mi to sposobność załatwienia niektórych koniecznych sprawunków—a wolę nabyć je w Londynie niż w Basham, gdzie nie miałabym odwagi się pokazać. Chyba więc powierzyłabym je Annie Hopley, a w tym jednym razie nie chciałabym spuścić się na nią.

— Jakże Adam się dziś miewa?

— Zdaje się lepiej, wczoraj dobrze wyglądał. Wieczorem nie byłeś u nas, Karolu, a on tak pragnął widzieć się z tobą.

Karol odpowiedział wymijająco. Przestrach jakiego doznał w sobotę wychodząc z Labiryntu, natchnął go postanowieniem zachowywania większej jeszcze przezorności, a zatem przez kilka przynajmniej dni nie uczęszczania codziennie do Labiryntu. Przeczucie jakieś szeptało mu że jest to ostrożność niezbędna.

— Wszak dziś powrócisz, Różo?

— Jeźli tylko będę mogła. Ale zależy to będzie od Bennet'a; jeźli mi każe czekać do jutra, przenocuję w hotelu, który Adam mi wskazał.

Wbrew wszelkiemu przypuszczeniu, wypadek zdarzył że i miss Blake tymże pociągiem *incognito* udawała się do Londynu, nie chcąc aby Karol lub lady Andinnian wiedzieli o tej wycieczce. Chodziło o wykończenie bardzo pięknego i bogatego haftu przeznaczonego dla p. Cattacomb, a potrzebnych do tego kosztownych przyborów tylko w Londynie można było dostać. W tym to celu wybrała się rannym pociągiem. „Niech cię to nie zaniepokoi jeźli nie przyjdę na drugie śniadanie, rzekła do Łucyi, znajdę gdzie z łatwością małą przekąskę” a miała za domem tak liczne zajęcia, już to z powodu rozmaitych nabożeństw, już to za poszukiwaniem obdartych dzieciaków które gwałtem zabierała matkom wysyłając je do szkoły, iż gdyby i przez cały dzień się nie pokazała, nie dziwiłoby to bynajmniej lady Andinnian. Miss Blake zamierzała powrócić przed wieczorem.

Siedząc już w wagonie zobaczyła sir Karola i zasunęła się w głąb aby jej nie zobaczył; nie na rękę jej było że i on jedzie do Londynu. Widziała że wsiadł do sąsiedniego wagonu.

— Ciekawa jestem po co on jedzie? myślała.

Przy śniadaniu ani wspomniał o wyjeździe, i prawie pewna jestem że Łucya nic o tem nie wie.

Gdy stanęli na ostatniej stacyi, miss Blake wiedząc że panowie mają zwyczaj wyskakiwać zanim pociąg zupełnie stanie, postanowiła czekać aż Karol wysiądzie i oddali się, i w tym celu zasunąwszy firankę, szparką wyglądała na niego. I jakiż to nadspodziewany przedstawił się jej widok. Sir Karol pomagał wysiąść jakiejś pani, poczem oboje szybko się oddalili. Prowadził ją pod rękę, a w drugiej niósł wielki worek podróżny. Pani była bardzo starannie zawoalowana, jednakże bystry wzrok miss Blake, pomimo gęstej bardzo koronki, dopatrzył iż była to mistress Grey.

Będąc zupełnie sama w wagonie, nie potrzebowała hamować swego oburzenia. „Obrzydły przeniewierca! ryknęła i wyskoczywszy ukryła się za słupkiem od latarni, ścigając wzrokiem winowajców.

Sir Karol wsadził mistress Grey do powozu, podał jej portsak i uścisnąwszy rękę dał rozkaz woźnicy gdzie ma jechać. Powóz ruszył prędko; wtedy sir Karol obejrzał się i skinąwszy na dorożkarza, wsiadł i odjechał. Teraz i miss Blake postanowiła opuścić swą kryjówkę, najmocniej przekonana że nie miała nawet pojęcia do jakich to obmierzłych matactw i szalbierstw uciekają się ludzie na tym zepsutym świecie.

— Nieszczęśliwa, biedna Łucya! powtarzała żałośnie, — oby Bóg zechciał wejrzeć na nią i świętą swoją otoczyć opieką!

Karol pojechał do Londynu w zamiarze poczynienia wszelkich możliwych starań w celu wykrycia wszelkich poszlak odnoszących się do Filipa Salter. Uprzedniej nocy przejrzał cierpliwie całe stosy starych gazet i nareszcie znalazł *w Times'ie* szczegóły odnoszące się do tej sprawy. Niejaki Filip Salter, przez kilka lat z kolei pełnił obowiązki dyrektora pewnej agencyi handlowej w Londynie, odznaczając się zawsze niezwykłą zdolnością i nieposzlakowaną uczciwością. Na nieszczęście wdał się w różne spekulacye na własny rachunek i zawsze na nich tracił, a dla utrzymania swego stanowiska i uniknienia rozgłosu, czerpał pieniądze z powierzonej sobie kasy. Chcąc to ukryć i nie obudzić podejrzeń, zniewolony był dopuszczać się różnych fałszerstw, usuwać dowody, nierzetelnie prowadzić księgi, słowem stał się skończonym łotrem. Naturalnie musiało się to wszystko wydać— to też nie czekając na to Salter umknął cichaczem, z nadzieją że go złapać nie zdołają. Jednakowoż dzięki słabym poszlakom a raczej zmyślności swojej, wytrawny ajent policyjny wpadł na trop zbiega, i udawszy się do Liwerpoolu pochwycił Saltera na pokładzie okrętu amerykańskiego, właśnie w chwili gdy miano podnieść kotwicę, i tak jak był przebrany zabrał go na pociąg idący do Londynu. Zrozpaczony Salter nie mając już nic do stracenia wyskoczył z wagonu a wyskoczył tak szczęśliwie iż udało mu się uciec.

Oto wszystko czego dowiedział się Karol z dzienników po najstaranniejszych poszukiwaniach — może obszerniejsze szczegóły znajdowały się w kilku brakujących numerach. Postanowił zatem z innych źródeł zaczerpnąć wiadomości.

Rozmyślał nad tem dzień cały. Była to niedziela. Łucya była lepiej, udali się wspólnie do kościoła i zasiedli w swej ławce naprzeciw ambony, dobrze widocznej dla wszystkich zebranych w kościele. Tak podczas całego nabożeństwa jak podczas kazania o tem tylko myślał i podejrzywał że Filip Smith i Filip Salter to jedna i taż sama osoba. Spojrzawszy na zamyślonego męża, Łucya sądziła że jest równie jak ona smutny i gorąco zamodlony. Naprzeciw ich ławki stała inna równie widoczna, należąca do pastora, w niej urządzony był pochylony fotel, przeznaczony wyłącznie dla Małgorzaty Sumnor, która też zajęła w nim miejsce. Prócz niej nikogo nie było w ławce, gdyż mistress Sumnor rzadko tylko, i to rano, bywała w kościele, a córki jej znajdowały się, jak zwykle, na nabożeństwie w kaplicy św. Hieronima.

W nocy Karol powziął stanowcze postanowienie. Jutro jadę do Londynu, mówił sobie, a jeźli mi się uda wyrugować tego Smith'a z jego stacyi obserwacyjnej, może się to stać zbawieniem Adama. I oto w jakim celu o jedenastej rano przybył na stacyę. Pojmował dobrze iż w sprawie tej należy postępować nader ostrożnie i przezornie aby nie zaszkodzić bratu —gdyż jeźli Smith jest rzeczywiście Salterem, to ujęty mógłby przez zemstę wydać Adama.

Pojechał wprost do kancelaryi pp. Plunkett et Plunkett, ale starszy, z którym tak on jak rodzina jego, porozumiewali się zawsze w interesach, wyjechał właśnie z Londynu, i zastał tylko młodszego p. Jerzego Plunkett, którego znał bardzo mało. Zaniepokojony tem, oznajmił mu z możliwą przezornością, iż pewne nader ważne powody zniewalają go do wywiedzenia się najdrobniejszych o ile można szczegółów odnoszących się do pewnego fałszerza i oszusta, nazwiskiem Filip Salter, który rok czy dwa temu zdołał zmylić czujność policyi i uciec. Chciał koniecznie dowiedzieć się czy został powtórnie schwytany, lub w przeciwnym razie czy nie podejrzywano gdzie się może ukrywać. Nie przypuszczając że mogą być powody nie dopuszczające szczerej i prawdziwej odpowiedzi, pan Jerzy Plunkett zapytał, w jakim celu sir Karol życzy sobie otrzymać te objaśnienia. Czy ktoś z jego przyjaciół należy do licznych ofiar tego Salter'a, i pragnąłby się dowiedzieć czy nie będzie można odebrać utraconej sumy? Karol odpowiedział w ten sposób że nie potwierdzając wyraźnie, zostawił jednak adwokata w tem mniemaniu. Pan Plunkett tyle tylko mógł go objaśnić, że, o ile mu wiadomo, Salter nie został powtórnie schwytanym, dodając że ponieważ tego rodzaju sprawy nie wchodzą w zakres ich działania, zatem nie zwracają na nie wiele uwagi, i radził aby sir Karol zasięgnął wiadomości w Scotland-Yard.

— Napiszę bilecik do jednego z wyższych urzędników i możesz być pewnym, sir Karolu, że cię wysłucha uważnie, i da wszelkie możliwe objaśnienia.

Karol podziękował grzecznie adwokatowi, ale oświadczył że nie życzy sobie udawać się do Scotland-Yard, a gdyby nawet zdecydował się tam udać, to nie wymieniłby nigdy swego nazwiska.

— Czemu? zapytał pan Jerzy Plunkett, a prawie jednocześnie przyszło mu na myśl, że sir Karol wstydzi się zapewnie pokazać tam jako brat nieszczęśliwego, który się dopuścił morderstwa.

— Są ważne powody, dla których życzę sobie aby nikt nie wiedział że zajmuje się tą sprawą. W Scotland-Yard mógłby mnie ktoś poznać i może zadawanoby mi pytania, na które wolę nie odpowiadać obecnie.

— W takim razie, jeźli życzysz sobie tego, sir Karolu, mogę dać list do pewnego detektiwa i wskazać gdzie mieszka. Jest to jeden z najzręczniejszych ajentów policyi tajnej, i nie wątpię że będzie mógł udzielić wszelkich potrzebnych objaśnień. Nie będzie wymagał sir Karolu, abyś mu wymienił swe nazwisko: napiszę że jesteś naszym przyjacielem i klientem, poprzestanie na tem.

— Dziękuję panu, sądzę że tak będzie najlepiej, odpowiedział Karol.

Pan Plunkett napisał i oddał Karolowi list adresowany do pana Burtenshaw, przy Euston-road. Karol wsiadł do kabrioletu i z łatwością znalazł wskazane mu mieszkanie.

— Czy mogę się widzieć z panem Burtenshaw? zapytał Karol służącej która mu drzwi otworzyła.

— Pan Burtenshaw wyszedł, ale powiedział że wróci o piątej.

Niepodobna było czekać tak długo; Karol więc odszedł i udał się na obiad do restauracyi, ale zaledwie zegary na kościołach wybiły ósmą godzinę, zapukał powtórnie do drzwi ajenta.

Pan Burtenshaw był tym razem u siebie, i jakkolwiek Karol nie chciał wymienić swego nazwiska, wprowadzono go do pokoju na pierwszem piętrze. Mały człowieczek z cerą bladą i siwemi bystremi oczyma, siedział przy stole założonym papierami; Karol ukłonił się i podał mu list pana Plunkett.

— Może pan zechce usiąść zanim przeczytam ten list, rzekł pan Burtenshaw, który poznał od pierwszego spojrzenia że mówi do gentlemana. Karol usiadł przy oknie:

— Dobrze, jestem na usługi pana, rzekł ajent zajmując miejsce naprzeciwko Karola. W czemże mogę być panu użytecznym?

Karol przystąpił już śmielej do interesu niż u pana Plunkett, i powiedział że pragnie dowiedzieć się z pewnością co się stało ze zbrodniarzem, nazwiskiem Filip Salter.

— Czy pan zna tę sprawę? zapytał, nie otrzymując od pana Burtenshaw żadnej odpowiedzi.

— Zdaje mi się że ją znam doskonale, tylko zadawałem sobie pytanie czy czasem pan nie wyśledził tego Saltera i czy nie przychodzisz po nagrodę.

— Nagrodę! Alboż za schwytanie go wyznaczono jakąś sumę?

— Tak, pięćset funtów. Nagroda została wyznaczoną zaraz po jego ucieczce i nie cofnięto jej dotąd.

— Więc nie został schwytanym powtórnie?

— Nie, wyznaję z przykrością że wszelkie poszukiwania nasze nie przyniosły pożądanego skutku. Jakież szczegóły chciałby pan poznać głównie? czy coś odnoszącego się do jego fałszerstw i oszukaństwa.

— Nie idzie mi o to, czytałem obszerne sprawozdanie w starych gazetach; chciałbym się tylko dowiedzieć jakie są przypuszczenia co do miejsca jego pobytu, to jest: czy się ukrywa w kraju czy też za granicą, oraz poznać jego rysopis.

— Według naszego przekonania ukrywa się gdzieś w granicach Wielkiej Brytanii. Po jego ucieczce rozciągnięto nad wszystkiemi portami najtroskliwszy nadzór, wątpię więc aby mógł dostać się na ląd stały. Prócz tego mamy jeszcze inny powód — którego wymienić nie mogę — nakazujący wnosić że jest jeszcze w kraju, a przynajmniej był trzy miesiące temu.

— Istnieje mnóstwo miejscowości w Anglii w których może u krywać się łatwo, nawet żyjąc tak jak większa część otaczających go osób, odezwał się Karol.

— Rzeczywiście.

— Może żyć wygodnie, zachowując tylko pewne ostrożności, zmieniając naprzykład kolor włosów.

— O! farbowane włosy, przyprawne faworyty, okulary i inne tym podobne rzeczy, są w takim razie niezbędne, odrzekł Burtenshaw.

— Karolowi przyszły zaraz na myśl zielone oku-

lary pana Smith; żałował także bardzo że nie przyjrzał się lepiej czy nie nosi peruki.

— Czyby pan nie mógł opisać mi jego powierzchowności?

— Nie, panie, odpowiedział ajent, nie widziałem go nigdy ale niektórzy z nas znają go doskonale, a mianowicie Grimley.

— Któż jest ten Grimley?

— Jest to właśnie ten z pod którego dozoru Salter zdołał uciec. Biedny Grimley stracił od tego czasu wziętość, dziwi mnie to nawet że go nie oddalono.

— Więc pan nie może mi udzielić żadnego objaśnienia co do powierzchowności Saltera?

— Żadnego.

— Może znalazłby pan u siebie jego fotografię.

— Nie, panie, i o ile wiem, nie było jej wcale. Czy ta wiadomość jest tak ważną dla pana?

— Bardzo ważną. Gdzie możnaby znaleźć tego Grimley'a? pragnąłbym bardzo dziś jeszcze otrzymać od niego żądane szczegóły.

— Gdyby pan mógł być u mnie o ósmej, to w takim razie zawezwałbym do siebie Grimley'a, rzekł pan Burtenshaw, przejrzawszy swą książeczkę notatkową.

— Najchętniej, odpowiedział Karol, obliczywszy że będzie mógł wyjechać pociągiem odchodzącym przed dziesiątą.

Pan Burtenshaw odprowadził go aż do sieni, i patrząc za odchodzącym tworzył w myśli najrozmaitsze przypuszczenia.

— Kto to może być u licha? Twarz jego nosi niewłaściwy w tym wieku wyraz troski i niepokoju. Ale to pewna że wie gdzie się Salter ukrywa, i boi się tylko donieść o tem dopóki nie pozyska zupełnej pewności.

O godzinie ósmej Karol udał się znów do pana Burtenshaw, ale doznał niemiłego zawodu: nie było Grimley'a. Ajent policyjny podał mu tylko kawałek papieru, na którym było napisane z widocznym pośpiechem:

„Nie mogę być u pana przed jedenastą; może nawet trochę później. Idzie zapewnie o jakiś pilny interes. Jutro o piątej rano, muszę znów wyjechać na wieś”.

Karol zamyślił się, musiałby tym sposobem pozostać na noc w Londynie, czego nie życzył sobie, tak jednak gorąco pragnął dowiedzieć się czegóś pewnego, że postanowił zaczekać.

Odszedł, i wysłał do żony telegram z oznajmieniem że nie będzie mógł wrócić śpieszniej jak nazajutrz rano, a następnie zamówił sobie pokój w hotelu Charing-Cross!

Zanim jeszcze wybiła jedenasta był znów u pana Burtenshaw, gdzie w kwadrans później zjawił się i Grimley. Był to człowiek wysoki i silny, z wesołym wyrazem twarzy, nie miał na sobie munduru policmana, ale zwykłe cywilne ubranie.

— Przypominasz sobie zapewnie Saltera, Grimley'u? zapytał zwierzchnik przystępując od razu do rzeczy.

— Nie mogłem go zapomnieć, panie Burtenshaw.

— Opisz temu gentlemanowi jego powierzchowność, o ile można najdokładniej.

— Czy go schwytano nakoniec? zapytał Grimley z wyrazem radości.

— Nie, jak dotąd, ale nie oddawaj się przypuszczeniem, Grimley'u, tylko czyń co ci każą.

Grimley przywołany w ten w sposób do porządku zwrócił się do Karola.

— Jest mniej więcej mego wzrostu, i równie silnie zbudowany, a przy tem żwawy w ruchach. Naturalny kolor jego włosów jest ciemny, prawie czarny, ale któż wie na jaki ufarbował je obecnie.

— A twarz? zapytał Karol, gdyż dotąd opis zgadzał się z powierzchownością Smith'a.

— Twarz miał świeżą i przyjemną, dobre zachowanie, a w rozmowie był żartobliwy. Oczy... nie mogę za to ręczyć... ale zdaje mi się że były ciemne, brzwi bardzo gęste i silniej łukowate niż to bywa zwykle. W owym czasie nie nosił brody i faworytów, lecz założyłbym się że je zapuścił obecnie.

— Czy wyglądał na gentlemana?

— Tak, panie, mogę to zaręczyć, może tylko za nadto szafował oznakami życzliwości. Miewałem z nim dość częste stosunki zanim został oszustem— a przynajmniej dopóki się nie wydały jego szachrajstwa. Widząc go nigdyby pan nie przypuścił że jest zdolnym popełnić cóś podobnego; zdawał się godnym największego zaufania.

Smith był spokojnym, a nawet chłodnym w obejściu, ale Karol przypuszczał że po takich przejściach usposobienie tego człowieka mogło się zmienić do pewnego stopnia. Pod innemi względami rysopis Grimley'a można było doskonale zastosować do pana Smith'a, i Karol sądził że starania jego zostaną uwieńczone szczęśliwym skutkiem. Grimley przyglądał mu się bacznie.

— Czy masz jego fotografię, panie Grimley? zapytał Karol.

— Nie, panie. Żałuję bardzo że nie kazano jej zrobić! Co prawda to ja sam byłbym mógł pomyśleć o tem gdyśmy go schwycili w Liwerpoolu, ale tak byłem pewnym że mi się nie wymknie, iż nie zdawało mi się to potrzebnem. Do śmierci człowiek uczy się rozumu! Nikt przed nim nie wywiódł mnie w pole, ale też nikt już po nim.

— Więc to w ciągu drogi dozwoliłeś mu umknąć?

— Dozwoliłem!... tak panie, jest to wyrażenie właściwe, gdyż rzeczywiście stało się to z mej winy. Nie kładź mi kajdanek, Grimley'u, rzekł do mnie gdy wsiadaliśmy do nocnego pociągu, nie miła to rzecz zwracać tym sposobem na siebie uwagę tych co koło nas siedzą. Zachowam się spokojnie: schwytaliście mnie i nie myślę stawiać oporu.—Czy mi pan da na to słowo honoru, zapytałem.—Tak daję ci na to słowo, odpowiedział; jeżli mam powiedzieć prawdę, dodał po chwili, to zmęczyło mnie już to życie pełne niepokoju i obawy jakie wiodłem od pewnego już czasu. Uwierzyłem mu na moje nieszczęście! Wsadziłem go do wagonu, i Knowles, kolega mój, usiadł przy nim z jednej strony ja zaś z drugiej, tak że dotykaliśmy jego ramion naszemi ramionami. Salter miał na sobie szubę podbitą futrem i pokrytą grubą wełnianą materyą. Naprzeciwko Knowles'a siedział jakiś nieznany nam podróżny, który spał prawie ciągle. Salter spał także, czy też udawał że śpi. Jechaliśmy spokojnie i szczęśliwie, gdy nagle, niewiadomo z jakiego powodu lampa zgasła, a że wkrótce potem pociąg wjechał do tunelu, zostaliśmy pogrążeni w najzupełniejszej ciemności. Salter zdawał się spać jak kamień. Gdy dojechaliśmy do połowy tunelu, słaby promień światła wchodzący przzez jakiś otwór, przedarł się do wagonu na chwilę, i wtenczas zdawało mi się że nieznany nam podróżny wychylił się przez okno po tej stronie gdzie siedział Knowles. W minutę później usłyszałem jakiś trzask i poczułem przebieg powietrza. Wypadł! krzyknąłem, a Knowles który się zdrzemnął jak sądzę, chociaż nie przyznaje się do tego, przetarł oczy i zawołał: patrz, drzwiczki otwarte! Skoro wyjechalismy z tunelu! światło latarni palącej się przy wejściu oświeciło wnętrzne wagonu; podróżny siedział naprzeciwko nas i spał twardo śpuściwszy głowę na piersi... ale nie było więźnia.

— Jakże to się stać mogło? zapytał Karol, który słuchał z zajęciem opowiadania Grimley'a.

— Licho wie. Rękawy grubej jego szuby opierały się ciągle na naszych ramionach, ale nie było już w nich rąk Saltera; jakim sposobem zdołał je wyciągnąć tak zręcznie i zbliżyć się do drzwiczek, tego pojąć nie mogę. To tylko nie podpada wątpliwości, że musiał mieć ukryty przy sobie klucz od wagonów, i że otwierał właśnie drzwiczki, gdy mi się zdawało że to ów podróżny tak się przechylił przez nie.

— Cóż zrobiliście wtenczas?

— Nie mogliśmy uczynić nic więcej jak tylko krzyczyć dla ściągnięcia na siebie uwagi konduktora, i mogę panu zaręczyć że nie żałowaliśmy gardła; pomimo to konduktor nie słyszał naszego krzyku, a zanim dojechaliśmy do stacyi upłynął znaczny przeciąg czasu. Opowiedzieliśmy cały wypadek i zarządziliśmy poszukiwania w tunelu. Wszyscy byli przekonani że znajdziemy tylko martwe zwłoki więźnia, tymczasem nie znaleźliśmy nic wcale; Salter znikł nie pozostawiwszy po sobie żadnego śladu.

— Musiał się jednak zranić wyskakując, rzekł Karol.

— Tak się przynajmniej zdaje, odpowiedział Grimley, i może dotąd jeszcze nie wyleczył się zupełnie.

Karol zadrżał lekko przypomniawszy sobie że Smith nosi ciągle rękę na temblaku. Przyszło mu na myśl że mógłby wskazać Grimley'owi gdzie się ukrywa jego więzień, ale nie miał zamiaru uczynić tego, raz że ściągnęłoby to niebezpieczeństwo na jego brata, a powtóre że nie chciałby za nic w świecie zdradzić Smith'a.

— Ile może mieć lat ten Salter?

— Około trzydziestu pięciu. Liczono mu trzydzieści trzy gdy został schwytanym.

Tu już opis nie zgadzał się wcale, Smith zdawał się mieć najmniej czterdzieści.

— Czy Salter nie wydawał się starszym nad swój wiek? zapytał znów Karol.

— Nie, według mego zdania. Ale szczwany to lis, proszę pana! To zdarzenie nauczyło mnie że prawdziwa to głupota polegać na słowie podobnego hultaja. Może pan mógłby mi wskazać gdzie on się ukrywa, odezwał się nagle po chwili milczenia; schwytać napowrót tego człowieka, byłoby to dla mnie najmilszą czynnością jaka może mnie jeszcze czekać na świecie!

— Nie, nie mogę, odpowiedział poważnie Karol, co nie podobało się widocznie Grimley'owi.

Na tem skończyła się rozmowa, która nie przyniosła ważniejszych rezultatów, i Karol odszedł do hotelu. Grimley i pan Burtenshaw odprowadzili go z ukłonami aż do drzwi, i obydwaj byli najsilniej przekonani, że ten nieznany gentleman, wie dział więcej o Filipie Salter niż to chciał okazać.

Musimy teraz wrócić do Foxwood-Court. Miss Blake wróciła pierwszym pociągiem po południu, i zastała u lady Andinnian jenerała Lloyd, z Basham, z dwoma córkami. Przyjechali prosić Łucyę aby u nich była nazajutrz na śniadaniu, a następnie towarzyszyła im na wystawę kwiatów. Zaproszenie ściągało się także do Karola i miss Blake. Łucya przyjęła je co do siebie, gdyż samotność zaczynała jej ciężyć a kwiaty lubiła namiętnie. Co

do Karola, nie mogła dać stanowczej odpowiedzi, ponieważ był w Londynie; miała jednak nadzieję że będzie mógł jej towarzyszyć. Miss Blake odmówiła z powodu że właśnie nazajutrz miało być odprawione w kaplicy jakieś uroczyste nabożeństwo.

Usiadły same do stołu, nie mogąc się doczekać sir Karola, i pomimo żalu do męża smutno było Łucyi, że miejsce jego było puste.

— Czy wiedziałaś o tem że sir Karol jedzie do Londynu? zapytała miss Blake.

— Tak, Karol powiedział mi że potrzebuje widzieć się z panem Plunkett.

Miss Blake poruszyła się niecierpliwie, i przygryzła usta aby się zmusić do milczenia.

Po obiedzie Toresa wyszła do kaplicy, chcąc poczynić potrzebne przygotowania na dzień następny, a pomimo że jej to zajęło dość czasu, nie zastała jeszcze sir Karola. Trochę po dziewiątej przyniesiono telegram adresowany do lady Andinnian. Serce Łucyi zaczęło bić żywiej gdy go otwierała.

— Nie mogłem dziś skończyć interesu; wrócę jutro.

— Jakiż to interes zatrzymuje go w Londynie? wymówiła bezwiednie Łucya, sądząc że to zapytanie zadaje sobie w myśli.

Miss Blake zadrżała z gniewu, i przeczytawszy telegram cisnęła go na ziemię z wyrazem pogardy. Lady Andinnian patrzyła na nią z największem zdumieniem. Niech się dzieje co chce, powiem... tak powiem wszystko, gdyż powinnaś wiedzieć prawdę! zawołała Teresa, zapominając w paroksyzmie cnotliwego oburzenia, o więzieniu, karze pieniężnej, Joannie Shore i pręgierzu. Jakto łatwo i wygodnie wymawiać się interesami! Sir Karol nie sam jeden pojechał do Londynu.. towarzyszyła mu ta dziewczyna.

— Jaka dziewczyna?

— Ta z Labiryntu... z twarzą tak anielsko piękną.

Łucya czuła że krew zastyga w jej żyłach. Nie wyrzekła ani słowa, tylko śmiertelna bladość twarz jej pokryła.

— Ah! droga Łucyo, przebacz mi! zawołała miss Blake, może powiedziałam ci to niepotrzebnie, ale *nie mogę znieść* aby cię oszukiwano tak niegodnie. Ja także jeździłam dziś do Londynu, chcąc tam kupić jedwabiów do haftu, których nie znalazłabym w Basham. Sir Karol jechał z nią tym samym pociągiem, widziałam ich wysiadających z jednego wagonu.

Ciężko było i boleśnie słyszeć cóś podobnego i znosić w milczeniu, jednak Łucya nie wyrzekła ani słowa. Twarz jej zdradzała co się działo w jej duszy, ale postanowiła przynajmniej ustom nakazać milczenie.

— Widać że potrzebowali jednocześnie udać się do Londynu, i zeszli się przypadkiem, odpowiedziała nakoniec, czując że już potrafi powiedzieć to spokojnie i pewnym głosem. Jestem przekonana że Karol potrzebował się widzieć z panem Plunkett.

Powiedziawszy to, zadzwoniła na Hewitt'a, aby go uprzedzić że pan wróci dopiero nazajutrz, a następnie rozmawiała wesoło z Teresą przez resztę wieczoru. Miss Blake nie mogła wyjść z zadziwienia.

Tak, umiała udawać spokój w obecności Teresy, ale zostawszy samą w swoim pokoju, nie powstrzymywała się już od gwałtownego wybuchu boleści, zdawało się że jej serce pęknie, upadała pod brzemieniem swego nieszczęścia.

— A! jednak parę dni temu zapewniał mnie tak uroczyście że wina jego należy już do przeszłości, powtarzała ciągle, i noc całą spędziła bezsennie wśród ciężkich katuszy moralnych.

XX.

Jeden tylko powóz na stacyi.

Ciągły ruch panował na stacyi w Basham, od której kolej rozchodziła się w różne strony. Pociągi mijały się, służba kolejowa krzątała się bez przestanku.

We środę, o czwartej po południu, oczekiwano na pociąg z Londynu. Kilka osób stało przed dworcem; jedne z nich spodziewały się przybycia kogoś ze znajomych, inne zamierzały nim odjechać. W liczbie tych ostatnich znajdowała się młoda i śliczna kobieta, na którą wszyscy zwracali uwagę. Przybysze z dalszych stron dopytywali się ciekawie kto jest ta nieznana piękność, parę jednak osób wiedziało że jest to lady z Foxwood-Court, małżonka sir Karola Andinnian.

W tym dniu właśnie była wystawa kwiatów w Basham, a wiemy że lady Andinnian obiecała zwiedzić ją w towarzystwie rodziny jenerała Lloyd. Co prawda byłaby się dziś chętnie wyrzekła tej przyjemności, sir Karol nie wrócił, miss Blake oświadczyła że nie może z nią jechać gdyż w kaplicy miało być jakieś bardzo uroczyste nabożeństwo, a nadomiar złego, stangret oznajmił że jeden koń został skaleczonym przy podkuwaniu i że niepodobna go zaprządz. Że jednak lady Andinnian dotrzymywała sumiennie wszystkie swe obietnice, więc i teraz postanowiła pojechać do Basham koleją.

— Wszystko mi się zdaje, Tereso, że gdyby ci tylko nie zbywało na chęci, mogłabyś pojechać ze mną, rzekła Łucya.

Miss Blake obliczywszy się z czasem, przekonała się ze pozostaje jej przynajmniej trzy godziny któremi mogła rozporządzać, zgodziła się więc jechać z Łucyą, pod tym wszakże warunkiem że wróci zaraz po *lunchu*.—Pozostaniesz sama tylko przez te kilkanaście minut które przepędzisz w wagonie, gdyż jenerał odprowadzi cię do dworca, a służący zamówi powóz i będzie czekać na ciebie na stacyi w Foxwood.—Łucya zgodziła się na to, i obecnie czekała na pociąg pod opieką jenerała Lloyd.

Pociąg nadjechał nakoniec i zatrzymał się, jenerał wsadził Łucyę do przedziału dla dam, w którym siedziała tylko jedna kobieta, jadąca z Londynu. Siedziały naprzeciwko siebie i spoglądały na siebie ciekawie — i nic dziwnego obie były tak młode i piękne.

— Jakież ma śliczne włosy! Jakie zachwycające błękitne oczy! Jakaż to płeć świeża i delikatna! mówiła w myśli Łucya. Chciałabym wiedzieć kto to jest?

— Nigdy jeszcze nie widziałam równie pięknej i pociągającej twarzy, myślała jednocześnie piękna nieznajoma. Oczy ma prześliczne, takie smętne i wyrażające tyle czucia! A jak gustownie ubrana!

Łucya miała suknię materyalną perłowego koloru, takiż sam parasolik z rączką z kości słoniowej, pięknie rzeźbioną, i biały kapelusz. Suknia nieznajomej była czarna jedwabna, a kapelusz miała słomkowy z czarnym koronkowym woalem który odrzuciła w tył wyjechawszy z Basham. Mnóstwo większych i mniejszych paczek leżało przy niej. Żadna z pań nie umiałaby zdać sobie sprawy dla czego, ale czuły że je cóś pociąga ku sobie.

Dojeżdżano do stacyi Foxwood, gdy Łucya poprawiając się na siedzeniu zrzuciła leżącą przy niej na ławce torbę podróżną, schyliły się razem aby ją podnieść.

— Ah! przepraszam panią, że nie położyłam przy sobie torby skoro pani weszła, rzekła nieznajoma umieszczając ją obok innych paczek.

Łucya, ze swej strony przeprosiła grzecznie za swą nieuwagę.

Pierwsze lody zostały tym sposobem złamane, i rozmawiały z sobą aż do stacyi. Łucya widząc że nieznajoma zbiera swoje paczki, domyśliła się że zamierza wysiąść w Foxwood.

— Czy pani się tu zatrzymuje? zapytała.

— Tak, pani.

— Śliczne to miejsce, słowiki co wieczór wyprawiają nam koncerta.

— Więc i pani tu wysiądzie?

— O! ja tu mieszkam ciągle.

Pociąg zatrzymał się i wysiadły. Zabudowania stacyi, czyli raczej przystanku Foxwood, stały po jednej stronie drogi żelaznej — jak to bywa zwykle na podrzędnych stacyach — z drugiej zaś stykała się z polem i głównym gościńcem. Za barierką stał powóz z otwartemi już drzwiczkami. Nieznajoma zbliżyła się do powozu, i chciała wsiąść do niego.

— Przepraszam, zawołał furman, ten powóz już zamówiony.

Na twarzy jej ukazał się wyraz niezadowolnienia: Czy naprawdę? zapytała, podnosząc na niego oczy.

Łucya, która zatrzymała się za nią, słyszała tę rozmowę.

— Tak, pani, zamówiono go dla lady Andinnian.

— Dla kogo? zawołała jakimś dziwnym głosem, a twarz jej zbladła nagle.

Furman patrzył na nią z zadziwieniem, sądząc że się rozgniewała. Łucya nie mogąc zrozumieć wzruszenia nieznajomej, zarumieniła się lekko.

— Dla kogo, jak mówiłeś, zamówiono ten powóz? powtórzyła nieznajoma.

— Dla lady Andinnian, z Foxwood-Court, odpowiedział dobitnie furman. Po cóż miałbym kłamać?

— A! nie... nie zrozumiałam, odpowiedziała nieznajoma cicho i lękliwie. Odwróciła głowę i spotkała się oko w oko z Łucyą. W tej chwili nadbiegł także lokaj, któremu widocznie znudziło się czekać na panią, i szukał gdzieś rozrywki.

— Oto jest powóz dla milady, rzekł zdejmując kapelusz.

Tym to sposobem nieznajoma dowiedziała się, że młoda i piękna osoba która jej się tak podobała, jest lady Andinnian.

— Przepraszam... bardzo przepraszam, rzekła, nie wiedziałam że miałam przyjemność jechać z żoną sir Karola Andinnian... Sądziłam że powóz nie zajęty.

Nie czekając na odpowiedź odeszła śpiesznie, skinąwszy na komissyonera któremu oddała paczki. Łucya zbliżyła się do niej.

— Jeżeli pani pozwoli, odwiozę panią. Powóz był rzeczywiście zamówiony dla mnie, ale dwie osoby pomieszczą się w nim łatwo.

O! nie... dziękuję... bardzo dziękuję, ale nie... Pójdę piechotą.

(D. c. n.)



N. 1. Kwiaty do kapelusza.

Opis do N-ru 23.

N. 1. Bukiet do kapelusza. Zobaczyć ryc. 41.

Od ściśle ułożonego bukiecika rezedy i pączkow różanych spuszczo- ne są na giętkich gałązkach róże i liście do cieniu; takież gałązki lekko związane zakończają bukiecik z drugiej strony. Ładnie jest gdy kwiaty przy kapeluszu zmieniają się stosownie do pory roku, a takie same świeże kwiaty przypięte są do kołnierzyka lub chusteczki.



N. 2. Pelerynka szalowa. Krój na dodatku z formami N. VII, fig. 35—37.



N. 3. Krótki płaszczyk. Przód na ryc. 4. Krój na dodatku N. IX, fig. 41—44a.



N. 4. Krótki płaszczyk. Plecy na ryc. 3. Krój na dodatku N. IX, fig. 41—44a.

N. 5. Ubranie ze stanikiem z baskiną i draperyą na spódnicy. Przód na ryc. 6. Krój na dodatku N. I, fig. 1—9.



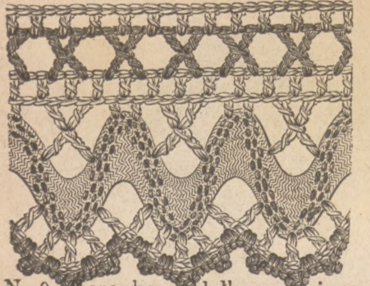
N. 6. Ubranie ze stanikiem z baskiną i draperyą na spódnicy. Plecy na ryc. 5. Krój na dodatku N. I, fig. 1—9



N. 7. Parawanik ozdobiony haftem i aplikacyą.



N. 8. Suknia z tuniką fartuszkową.



N. 9. Koronka szydełkowa z nici kolorowych i ząbków z plecionki kolorowo wyszywanych.

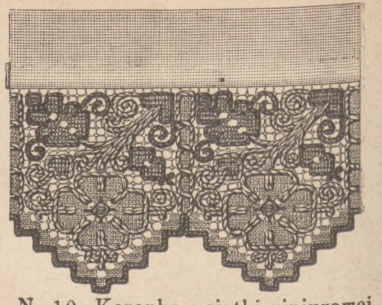
Nr. 2. Pelerynka szalowa. Forma na arkuszu z krojami N. VII, fig. 35 do 37.

Najwięcej używane do spacerowego ubrania, są pelerynki z tego co suknia materyału; ryc. 2 przedstawia pelerynkę szalową, do której zgrabną formę dajemy na fig. 35—37. Na modelu kołnierz był aksamitny ogarnirowany koronką; podszewka powinna być z fularu lub innej jedwabnej materyi. Spodni koniec pelerynki podchodzi pod pasek, a zwierzchni przypina się z boku kokardą.



N. 12. Przykrycie od kurzu do powozu. Haft krzyżowy i sznureczkowy. Patrz rzucik na ryc. 17 i 18 w N. 22. Deseń pasów na fig. 73 na ark. z kr.

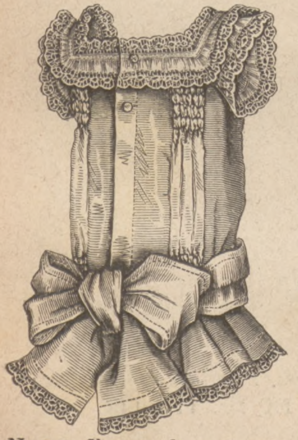
zdobią sznury i kwasty jedwabne.



N. 10. Koronka z siatki gipiurowej z kolorowem wyszyciem. Próbka w naturalnej wielkości na ryc. 11.

N-ra 5—6. Suknia z draperyą i ze stanikiem z baskiną. Krój N. I, fig. 1—9.

Ryc. 5—6 przedstawia suknię z perkalu jasnego w paski i z gładkiego w ciemniejszym kolorze, ozdobioną 4 cent. szerokiemi haftowanemi falbankami. Baskina pleców w części przykrojona jest razem z boczkiem tylnym, a reszta podług modelu i miar podanych na fig. 6; ten oddzielny kawałek fałduje się podług znaków i przyszywa od spodu do pleców.



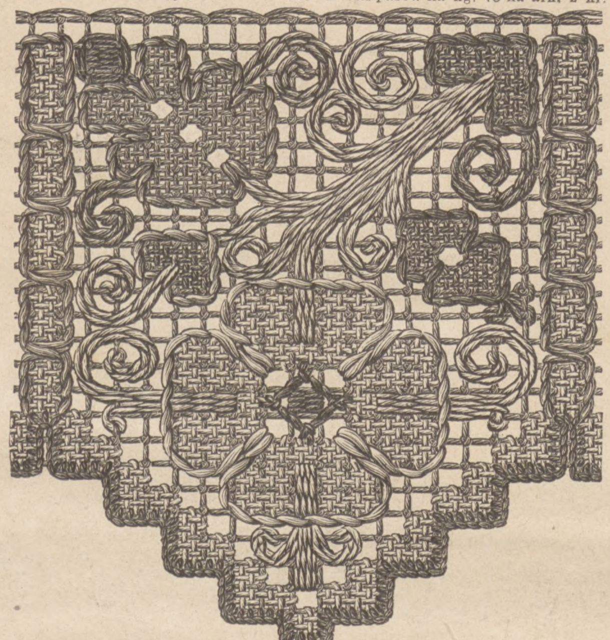
N. 13. Fartuszek wycięty dla dziewczynki lat 2—4. Krój na dodatku N. XIV, fig. 60—61.



N. 14. Fartuszek ogrodowy dla dziewczynki lat 3—5. Krój na dodatku N. IV fig. 18—22.

N. 3—4. Krótki płaszczyk. Krój N. IX, fig. 41—44a.

Rycina 3—4 przedstawia z przodu i z tyłu ubranie spacerowe dla młodych, osób, dopełnione krótkim płaszczykiem, z tego samego co suknia lub odmiennego materyału. Lekkie wełniane płaszczyki, jak na ryc. 4, podszywa się całe jedwabną podszewką, pod grubsze materyały podszewkę daje się tylko pod kołnierz, oraz listwy 8—10 cent. szerokie pod brzegi przodów i pod rękawy, które następnie przemarszcza się do 32 cent. obwodu. Mały model kroju fig. 41a—44a, przedstawia zestawione części płaszczyka, do którego fig. 42 musieliśmy dać w dwóch oddzielnych częściach. Gdy przodek fig. 41 i drugą część pleców fig. 43 zeszyje się ze sobą od C do D, łączy się spodnią część rękawa ze zwierzchnią od F do G i od A do H, tę ostatnią przyszywa się od A do B do dołu przodu, a w górze od F do D i do pleców od D do E. Razem z wierzchem rękawa krajaną część baskiny, (fig. 42B) ściśle sfałdowaną, przyszywa się do pleców od E do I; na przyszyciu daje się szmuklerską agrafę, mającą 12 c. szerokości a 16 wysokości, oprócz frendzli 6 c. szerokiej. Rękawy

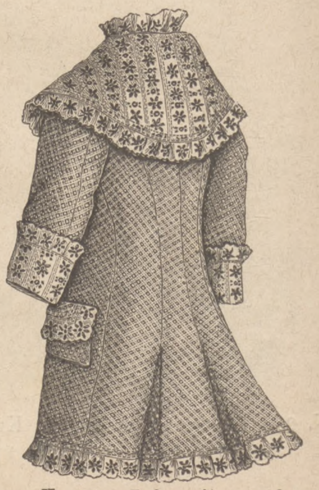


N. 11. Koronka z siatki gipiurowej. Wielkość naturalna jednego zęba do ryc. 10.



N. 15. Sukienka wycięta dla rocznego dziecka. Krój na dod. N. VI, f. 30-34.

Spódnica oszyta plisowaniem 13 cent., i plisowaną falbaną 53 cent. szeroką. Fig. 9 daje model i miary draperyi; *a* oznacza połowę części przedniej, która z boków do 35 cent. sfałdowana, podchodzi pod bryt tylny *b* podpięty bufiasto sposobem wskazanym na ryc. 6.



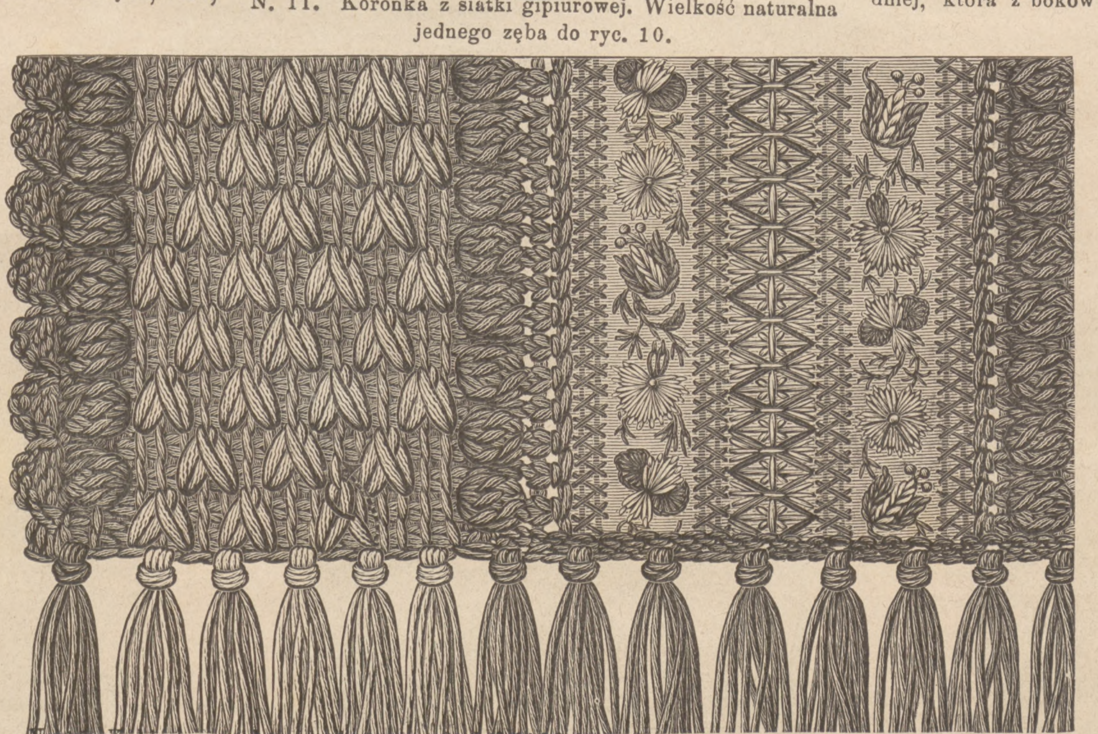
N. 16. Paletocik z pelerynką dla dziecka lat 2-3. Przód na ryc. 35 w N. 22. Krój na dodatku N. XV, fig. 62—66.

N. 7. Parawanik ozdobiony haftem i aplikacyą.

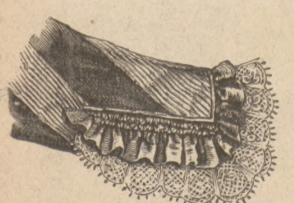
Trzy skrzydła parawanika mają, po 20 c. szerokości a 45 środkowej wysokości. Ramy 3 c. szerokie są gładko obite pluszem wiśniowym, środek skrzydeł ma tło z atłasu oliwkowego, na którem dana aplikacya z atłasu i pluszu w stosownych kolorach; twarze i ręce osób są malowane, suknie gdzieniegdzie haftowane ściegiem sznureczkowym, kwiaty i liście haftowane ściegiem płaskim i długim.

N. 8. Suknia z tuniką fartuszkową.

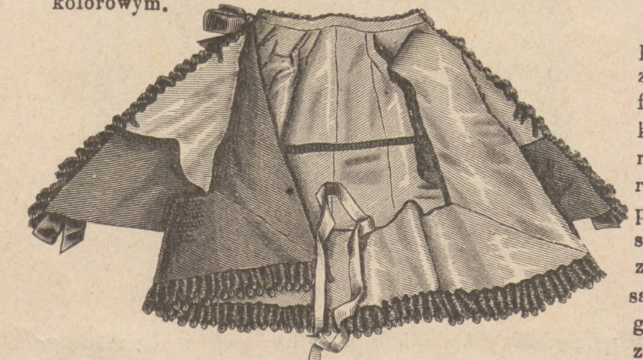
Spódnicę sukni beżowej w dużą kratę, układaną w szerokie podwójne kontrafałdy, zdobi z przodu krótka fałdowana tunika fartuszkowa, w miejsce draperyi złączona z tyłu szeroką szarfą przypiętą do stanika, z przodu opasanego z brzegu wstążką związaną na kokardę z długiemi końcami.



N. 17. Kołderka z połączonych pasów, do kolebki lub wózka. Robota szydełkowa i haft na kretonie kolorowym.



N. 18. Rękaw do sukni z boku otwarty.



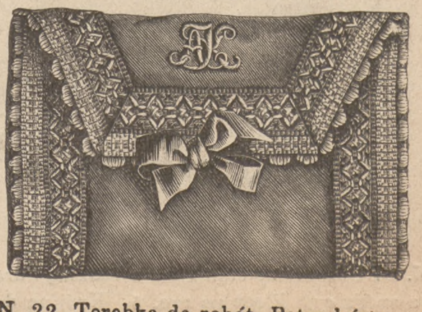
N. 20. Widok strony wewnętrznej płaszczyka ryc. 2 w N. 22.



N. 19. Rękaw przemarszczany do sukni.



N. 21. Bórta wyszywana do torebki ryc. 22.



N. 22. Torebka do robót. Patrz bórtę w naturalnej wielkości na ryc. 21.



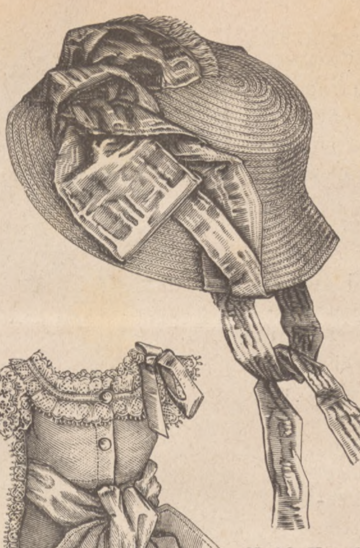
N. 23. Kapotka krepowa.

N-ra 10 do 11. Koronka siatkowa z kolorowem wyszyciem.

Koronka bardzo używana do garnirowania sukien, może być zupełnie biała albo écru, lub też na tle écru wyszywana bawełną albo jedwabiami dobremi do prania. Kolory dobrać można podług gustu. Na ryc. 11 dajemy jeden ząb siatki w naturalnej wielkości, a na ryc. 10 parę zębów zmniejszonych.



N. 25. Kapelusik z białego kaszmiru lub materyi dla małego dziecka.



N. 26. Kapelusz słomkowy dla małej dziewczynki, przybrany wstążką morową.



N. 24. Kapelusz słomkowy ubrany aksamitem i kwiatami.



N. 29. Kapelusz słomkowy podróżny.



N. 27—28. Długa sukienka wycięta, dla dziecka noszonego na ręku. Krój na dod. N. XVI, fig. 67—70.



N. 30 Kapelusz podróżny okrągły ze słomki bronzowej ubrany wstążką atłasową, piórkami i agrafką metalową.

N. 12. Kołdra do powozu. Ścieg krzyżowy i sznureczkowy. Zobaczyć rzucik na r. 17 i 18 w N. 22 i na fig. 73.

Kołdra taka robiona na kanwie Aïda, włóczkami hamburgskiemi i podszyta kolorową satynką, stanowi lekką i bardzo dogodną ochronę od kurzu. Model miał 140 c. szerokości a 190 długości. Na arkuszu z krojami do N. 1 z r. b., pod N. 7 i 8 znajduje się deseń na pasy do kołdry, których kontury odznacza się ściegiem sznureczkowym a tło zapełnia ściegiem łańcuszkowym. Rzucik robi się ściegiem krzyżowym, większy podług fig. 73, a mniejszy podług ryc. 17 i 18 w N. 22. Dobór kolorów zależy od gustu.



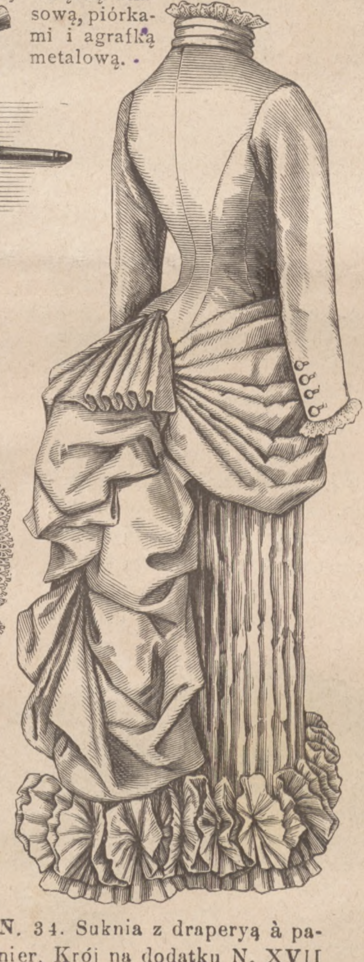
N. 31—32. Parasoliki.



N. 33. Suknia do pierwszej komunii.



N. 35. Kapelusik helgolandzki dla niemowląt.



N. 34. Suknia z draperyą à panier. Krój na dodatku N. XVII fig. 71—72.

N. 13. Wycięty fartuszek dla dziewczynki lat 2 — 4. Krój N. XIV, fig. 60 — 61.

Na fig. 60 dajemy formę przodu i pleców do fartuszka zakończonego u dołu i z brzegu pleców obrąbkiem $2\frac{1}{2}$ c. szerokim i oszytego 2 c. szeroką koronką tryming. Przód w odstępie 6 cent. od środka a plecy w górze i poniżej wcięcia w pasie, a marszczki od spodu podszywa się kawałkiem perkalu. Przy marszczkach z przodu przecięte są otwory do wszycia szarf. Karczek pokrywa wązka falbanka, z której zrobione są także krótkie rękawki.

N. 14. Fartuszek ogrodowy dla dziewczynki lat 3—5. Krój N. IV, fig. 18—22.

Fartuszek z płótna écru ozdobiony kolorowo haftowanemi falbankami 2 i 5 cent. szerokiemi i szluczkami haftu krzyżowego, przemarszczony jest kilka razy z przodu w miejscu oznaczonem na formie linijką, a marszczki podszywa się listewką; 13 cent. szeroka szarfa w środku przodu przestębnowana, z boków przewleczona pod patkami 7 c. długiemi, przyszytemi w odstępie 12 c. od dolnego brzega, wiąże się z tyłu na kokardę.

N. 15. Sukienka wycięta dla dziecka rocznego. Krój N. VI, fig. 30-34.

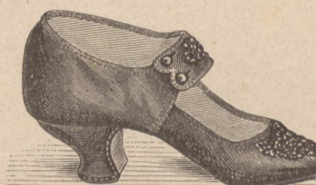
Sukienka luźna formą princesse, odrobiona była z szafirowej satynki; przód zdobił plastron w równych odstępach 4 razy przemarszczany, w górze 20, u dołu 8 cent. szeroki, wzdłuż brzegów oszyty falbanką 3 cent. szeroką, w maszynie biało haftowaną. Takąż falbanką oszyte krótkie rękawki, wykrój szyi na tasiemkę przyciągany i dwie falbanki, z których dolna do brzegu sukienki przyszyta, ma 12 cent. wysokości a 130 obwodu, górna wraz z nagłówkiem $1\frac{1}{2}$ c. ma $10\frac{1}{2}$ c. szerokości.



N. 38. Próbka ściegu do haftu do fartuszka ryc. 5 w N. 22.



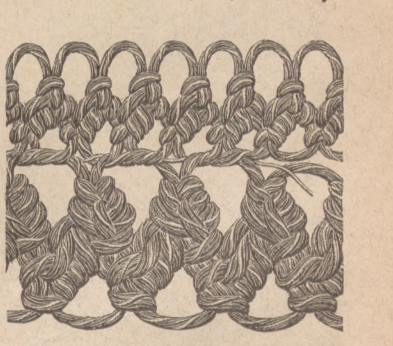
N. 36. Półbucik spacerowy sznurowany.



N. 37. Trzewik spacerowy wycięty, zapinany na patkę z guzikami, ozdobiony wyszyciem z szmelcow. perełek.



N. 39. Fartuch ogrodowy lub do gospodarstwa. Próbki koronki szydełkowej na ryc. 15 i 16 w N. 22. Krój na dodatku N. XI, fig. 50—51a.



N. 40. Bórta do koszyczka do robót ryc. 21 w N. 22 spojona z dwóch torsadek robionych szydełkiem na widełkach.



N. 41. Kapelusz ogrodowy ubrany kwiatami.

N. 17. Kołderka w pasy do kolebki albo wózka. Robota szydełkowa i haft na kolorowym kretonie.

Ryc. 17 przedstawia w połowie naturalnej wielkości pasy do kołderki, robione z kolorowej włóczki szydełkiem, ściegiem tunetańskim, naprzemian z pasami z kolorowego kretonu, haftowanemi różnokolorową włóczką i filozelą. Ściegi haftu wyraźnie wskazane są na ryc. 17. Pasy szydełkowe robione były ściegiem zwykłym tunetańskim na 18 oczek, z włóczki jasno-bronzowej, a następnie wzdłuż brzegów obrobione włóczką ciemną słupkami, dając naprzemian w jedne oczko brzeżne, jedne oczko ściśle, w następne 3 słupki spojone jedną pentelką. Potem następuje rząd oczek ścisłych robionych z lewej strony. Pasy brzeżne obrobione są jeszcze ząbkami pikotowemi.



N. 43. Kapelusz okrągły dla młodej osoby.



N. 42. Kapelusz ogrodowy ubrany koronką.



N. 44. Kapotka dla młodej panienki ubrana koronkami i kwiatami.

N. 21–22. Torebka na robótkę, ozdobiona szlakiem wyszywanym.

Model odrobiony był z kawałka bronzowego surah, mającego 36 cent. długości a 20 szerokości, podszytego atłasem, zaszytego u dołu na kieszonkę 14 cent. głęboką. Pozostałe 8 cent. stanowi klapkę do zamykania, z boków skośnie ściętą do 12 cent. dolnej szerokości. Ryc. 21 przedstawia w naturalnej wielkości szlak, wyszyty na wstążce vieil-or, ściegami pojedyńczemi jedwabiem niebieskim, ponsowym i oliwkowym. Brzeg dolny oszyty bórą w odpowiednich kolorach zakończoną frendzelką.

N. 23. Kapotka biała krepowa.

Podszyta atłasem blado-lilla, denko główki pokryte gałązkami bzu białego i blado-lilla, około ronda upięcie z szalika krepowego; takież szarfy w miejsce wstążek.

N. 24. Kapotka z bronzowej słomki.

Podszyta bronzowym aksamitem, ubrana aksamitem, koronką jedwabną hiszpańską, chrabąszczami i bukiecikiem z róż i eglantyny. *(D. n.)*



N. 45. Kapotka dla młodej panienki, ubrana wstążkami.



N. 46. Kapotka słomkowa ubrana piórami, dla młodej osoby.



N. 48. Kapotka dla młodej osoby ubrana materyą i kwiatami. Patrz ryc. 49.



N. 47. Kapelusz dla małej dziewczynki, z wysoko podniesionem rondkiem.



N. 49. Kapotka dla młodej osoby, ubrana materyą i kwiatami. Patrz ryc. 48.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 22 i 23.

N. IX. Krótki płaszczyk ryc. 3—4 w N-rze 23.

Fig. 41. Przodek (A, B, C, D, F) jedno załamanie formy ⊢—⊣ ⊢—⊣

Fig. 42. Pierwsza część pleców wraz ze zwierzchnią częścią rękawa i linją oznaczającą przecięcie formy.

Fig. 42A, Część górna formy (A, D, F, G, H, *, :) ✕ ✕ ✕

Fig. 42B. Dolna część formy (B, E, I, K, *, :, ✕ 1 · 1 do ✕ 5 · 5 jedno załamanie formy ═ ○ ═ ○ ═

Fig. 43. Druga część pleców (C, D, E, I) ↔ ↔

Fig. 44. Spodnia część rękawa (A, F, G, H) ◡ ◠ ◡

Fig. 41a—44a. Mały model zestawionych części płaszczyka.

N. X. Paletocik wcięty dla panienki lat 12—14. Ryc. 1 w N. 22.

Fig. 45. Przód (L, R, S, T, *) ✕ • ✕ •

Fig. 46. Boczek (L, M, N, O) ✕ • ✕ • ✕ •

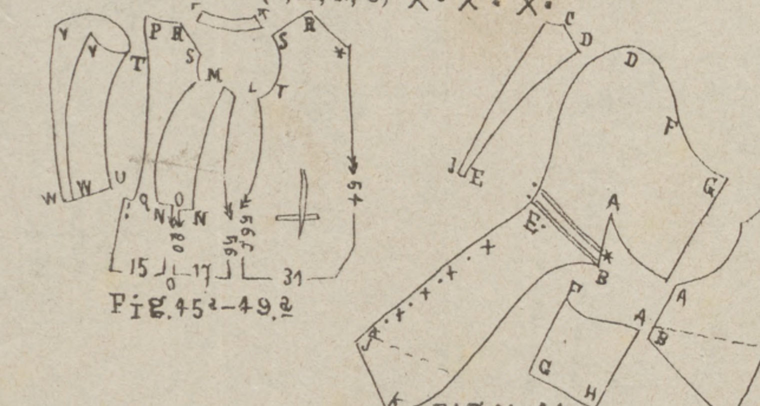


Fig. 47. Plecy (M, N, O, P, Q, R, S, :) 〰〰

Fig. 48. Rękaw (T, U, V, W) —— - —— -

Fig. 49. Połowa stojącego kołnierza (P, *) ✳ ✳ ✳

Fig. 45a—49a. Mały model zestawionych części formy paletocika.

N. XI. Fartuszek ogrodowy i do gospodarstwa. Ryc. 15—16 w N-rze 22 i 39 w N-rze 23.

Fig. 50. Połowa przodu (X, *, +) —✕—✕—

Fig. 51. Boczek (X, Y, Z, :, ·) —• • —•

Fig. 50a—51a. Mały model zestawionych części fartuszka.

N. XII. Vêtement dla dziewczynki lat 8—10. Ryc. 32 w N. 22.

Fig. 52. Przód (a, b, e, f, g) ✕ ✕ ✕

Fig. 53. Boczek (a, b, c. d) ○○○○

Fig. 54. Plecy (c, d, e, f) —✳—✳—

Fig. 55. Rękaw (g, h, i, k) —— —— ——

Fig. 55a. Widok pleców vêtement ryc. 32 w N. 22.

Fig. 52a—54a. Mały model razem zestawionych części formy 52—54, z oznaczeniem kropkami miary zwierzchniego materyału.

N. XIII. Bluzka dla dziewczynki lat 5—7. Ryc. 36—37 w N. 22.

Fig. 56. Przodek (l, m, o, p, q, r, s) ⎍⎍

Fig. 57. Połowa części dopełniającej przód (l, m, n) —• • —

Fig. 58. Plecy (o, p, q, r) —○—○—

Fig. 59. Rękaw (s, t, u, v) ▬ ▬

Fig. 59a. Mały model i miary razem przykrojonych części zwierzchnich przodów i pleców.

N. XIV. Fartuszek wycięty dla dziewczynki lat 2—4. Ryc. 13 w N-rze 23.

Fig. 60. Połowa przodu i pleców (w, x, *, :) •⁝— •⁝—

Fig. 61. Połowa karczka (y, z, *, :) ◠◡◠◡

N. XV. Paletocik z pelerynką dla dzieci lat 2—3. Ryc. 35 w N-rze 22 i 16 w N-rze 23.

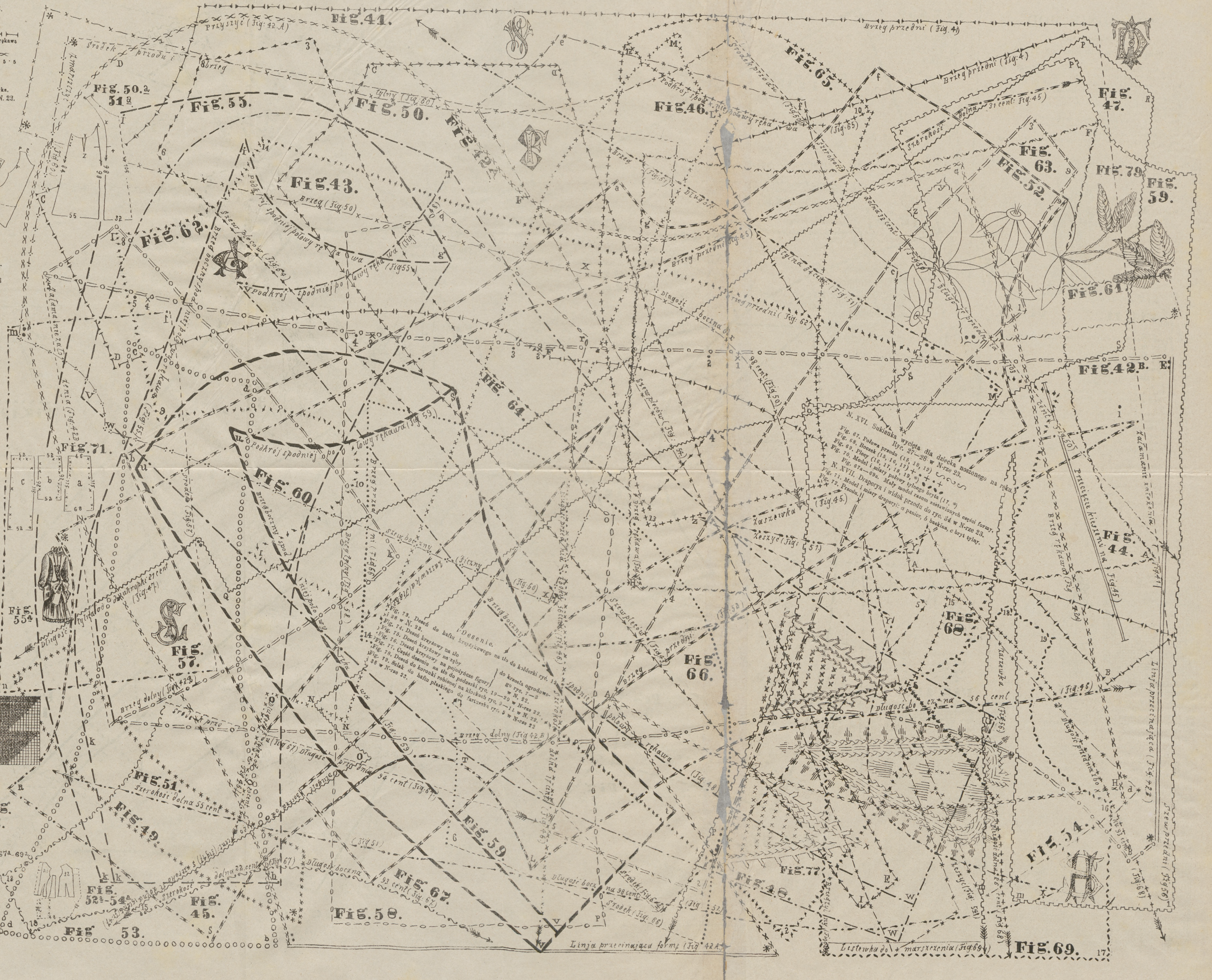
Fig. 62. Przodek (1, 2, 8, 9, 10, 14) • • • •

Fig. 63. Pierwsza część pleców (1, 2, 3, 4, 5, 9) ═✕═✕

Fig. 64. Połowa drugiej części pleców (3, 4, 5, 6, 7, 8) —◆— —◆—

Fig. 65. Rękaw (10, 11, 12, 13) + + + +

Fig. 66. Połowa pelerynki (6, 14) • • • • •



N. XVI. Sukienka wycięta dla dziecka noszonego na ręku. Ryc. 27—28 w N-rze 23.

Fig. 67. Połowa przodu (15, 18, 19) ∽ ∽ ∽

Fig. 68. Boczek (15, 16, 17) + • + • +

Fig. 69. Plecy (16, 17, 18, 19, *) • • • •

Fig. 70. Model i miary połowy tylnego bryta (17, *)

Fig. 67a—69a. Mały model razem zestawionych części formy.

N. XVII. Draperya i widok przodu do ryc. 34 w N-rze 23.

Fig. 71. Model i miary draperyi: a panier, b baskina, c bryt tylny.

Fig. 72. Przodu.

Desenie.

Fig. 73. Deseń do haftu krzyżykowego na tło do kołderki ryc. 12 i 38 w N. 23.

Fig. 74. Deseń krzyżowy na tło } do krzesła ogrodowego ryc. 7—8 w N. 22.

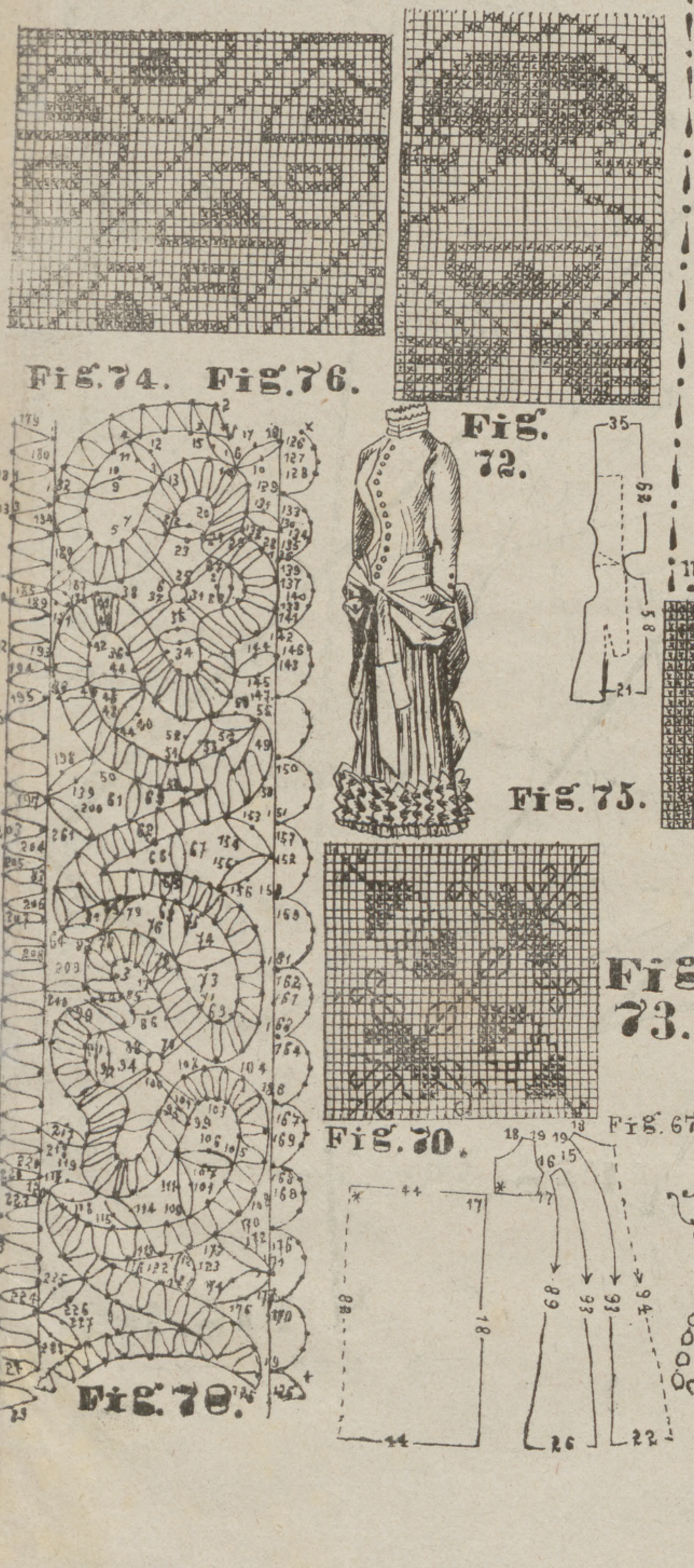
Fig. 75. Deseń krzyżowy na zęby

Fig. 76. Deseń krzyżowy na pojedyńcze figury

Fig. 77. Część deseniu na tło do poduszki ryc. 19—20 w N-rze 22.

Fig. 78. Deseń do koronki robionej na klockach ryc. 9—11 w N. 22.

Fig. 79. Szlak do haftu płaskiego do fartuszka ryc. 5 w N-rze 22 i 38 w N-rze 23.



TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1882 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 22 i 23.

N. I. Stanik z draperyą do ryc. 5—6 w N-rze 23.

Miara połowy objętości: w gorsie 48, w pasie 31 cent.

Fig. 1. Część przodu z dziurkami do guzików (A, B, Q) ○ ○ ○ ○
Fig. 2. Przód (A, B, C, D, I, K, L) ▬▬▬
Fig. 3. Boczek przedni (C, D, E, F) • • • • •
Fig. 4. Boczek do pleców (E, F, G, H, × 1 · 1) ✕ ✕ ✕
Fig. 5. Plecy (G, H, I K, P) ═ ○ ═ ○ ═
Fig. 6. Model i miary połowy baskiny do pleców (H)
Fig. 7. Rękaw (L, M, N, O) — · — · —
Fig. 8. Kołnierz z rauwersem (P, Q) ↔ ↔ ↔
Fig. 9. Model kroju i miary draperyi: *a* połowa przodu, *b* draperya tylna.



N. II. Płaszczyk do podróży z częścią fałdowaną. Ryc. 34 w N. 22.

Fig. 10. Przód (R, S, T, U, V, X, Y, Z)
Fig. 11. Model i miary połowy pleców (V, W, *)
Fig. 12. Połowa paska kołnierzowego (W, X) * * *
Fig. 13. Płaszczyk podany z przodu.

N. III. Płaszczyk z pelerynowemi rękawami. Ryc. 2 w N-rze 22 i 20 w N-rze 23.

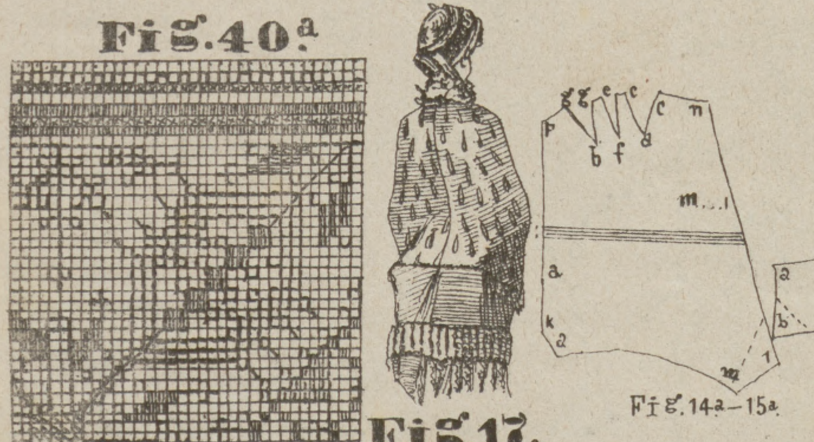
Fig. 14. Przód (a, b, c, m, n, +, dwa załamania figury)
Fig. 15. Rękaw pelerynowy wraz z plecami i linją oznaczającą przecięcie formy.
Fig. 15A. Górna połowa formy (c, d, e, f, g, h, i, l, m, n, *, :)
Fig. 15B. Dolna połowa formy (a, k, l, m, *, :) 1 załamanie formy
Fig. 14a—15a. Mały model zestawionych części płaszczyka.
Fig. 16. Deseń rzuciku haftowanego na pelerynie.
Fig. 17. Płaszczyk widziany z tyłu.

N. IV. Fartuszek ogrodowy dla dziewczynki lat 3—5. Ryc. 14 w N-rze 23.

Fig. 18. Połowa przodu (o, p, q, r, w) — × — × —
Fig. 19. Połowa karczka do przodu (q, r, u, v)
Fig. 20. Plecy (o, p, s, t) ⊢⊣ ⊢⊣ ⊢⊣
Fig. 21. Karczek do pleców (s, t, u, v)
Fig. Rękaw (w, x, y. z)

N. V. Bluza i majtki ze stanikiem dla małego chłopczyka. Ryc. 29 w N-rze 22.

Fig. 23. Majtki (1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8)
Fig. 24. Połowa stanika (9, 10) 〰〰
Fig. 25. Przód do bluzki (11, 12, 13, 14)
Fig. 26. Przód karczka (13, 14, 17, 18)
Fig. 27. Połowa pleców (11, 12, 15, 16) + • + • +
Fig. 28. Karczek do pleców (15, 16, 17, 18) + + + +
Fig. 29. Rękaw (11, 19)



N. VI. Sukienka wycięta dla dziecka rocznego. Ryc. 15 w N. 23.

Fig. 30. Pierwsza część przodu (20, 21)
Fig. 31. Druga część przodu (20, 21, 22, 23, 26, 27) — * —
Fig. 32. Pierwsza część pleców (22, 23, 24, 25, 26, 27) — ○ —
Fig. 33. Druga część pleców (24, 25) ═ × ═ ×
Fig. 34. Rękaw (22, 28)

N. VII. Pelerynka szalowa. Ryc. 2 w N-rze 23.

Fig. 35. Przodek (29, 30, 32, × 2 · 2)
Fig. 36. Połowa pleców (29, 30, 31)
Fig. 37. Kołnierz z ranwersem (31, 32) × • × • × •

N. VIII. Płaszczyk przemarszczany. Ryc. 33 w N. 22.

Fig. 38. Mały model i miary wszystkich części płaszczyka: *a* przód, *b* plecy, *c* karczek, *d* górna część rękawa, *e* dolna część rękawa.
Fig. 38a. Płaszczyk widziany z tyłu.

Desenie.

Fig. 39. Czwarta część malowidła na drzewie, na blat do stolika ryc. 14 w N-rze 22.
Fig. 40. Deseń do roboty krzyżowej na szlak szeroki do firanki zesuwanej ryc. 26—28.
Fig. 40a. Deseń krzyżowy na szlak szeroki } do firanki zesuwanej
Fig. 40b. Deseń krzyżowy na szlak wązki } ryc. 22—25 w N. 22.

